TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Rok L, No. 40 — Nowy Jork, 10 października — New York, N. Y., October 10, 1943 — Cena 10 ct.

JÓZEF WITTLIN

LIST DO KONGRESU PISARZY W KALIFORNJI

Panie przewodniczący, Panie i Panowie!

Dziękuję Wam za zaszczytne zaproszenie na ten kongres i żałuję niezmiernie, że fizyczne niedomagania powstrzymują mnie od osobistego w nim udziału. Ale i w tej formie niech mi będzie wolno zabrać głos, aby przedstawić Wam, pisarzom, a więc ludziom wyobraźni—parę chaotycznych uwag o kryzysie wyobraźni pisarskiej w obecnych czasach. Mam niezasłużony zaszczyt reprezentowania przed Wami — literatury narodu, który już piąty rok znosi bohatersko moralne i fizyczne tortury, niedające się opisać słowami. Oddalony od mego kraju, usiłuję sobie wyobrazić męczeństwo naszych braci i sióstr, Chrześcijan i Żydów. "Oczyma duszy" staram się ujrzeć masowe egzekucje, dokonywane na miljonach moich rodaków w obozach koncentracyjnych, których nazwy brzmią: Oświęcim, Treblinka, Majdanek, Bełżec, Sobibór. Tam zginęli i giną pisarze polscy, którzy byliby ozdobą tego kongresu. Tam zamęczony został na śmierć Tadeusz Boy-Żeleński, pisarz znakomity, tłumacz na język polski całej niemal wielkiej literatury francuskiej, od Villona po Prousta. Tam zginął jeden z najwybitniejszych historyków literatury polskiej, Juljusz Kleiner, profesor mój i przyjaciel. Proszę Was, pisarze, o zapamiętanie nazwisk tych męczenników. I o zapamiętanie nazwiska Janusza Korczaka. Jeżeli w dzisiejszych czasach istnieją święci — to niewątpliwie należy do nich Janusz Korczak. Był to nietylko utalentowany powieściopisarz, lecz zarazem lekarz i pedagog, który całe swe życie oddał na usługi najbiedniejszych dzieci, jakiemi są sieroty. Przez długie lata był Korczak dyrektorem domu sierót żydowskich w Warszawie. Gdy niemiecki urząd, zajmujący się planową eksterminacją Żydów, postanowił zlikwidować warszawskie ghetto, przeznaczył również na śmierć wszystkie sieroty w zakładzie, powierzonym opiece Korczaka. Jego samego postanowili kaci oszczędzić, może dlatego iż był lekarzem, a może dlatego, aby go w jego własnych oczach poniżyć. Jak nato zareagował Korczak? Wziął na ręce dwie najmłodsze sieroty i na czele całego zakładu, któremu poświęcił życie, — poszedł na śmierć. Wielu naszych kolegów zginęło od kul plutonu egzekucyjnego. Tak zginął Witold Hulewicz, tłumacz poezji Rilkego i autor monografji o Beethovenie. Był on organizatorem tak licznej dziś prasy podziemnej w okupowanej Polsce. Wspominam o tem, nie aby wzbudzić Wasze współczucie i podziw i nie poto, aby zaznaczyć, iż podobny los spotkałby i mnie samego, gdybym był w Polsce. Chciałbym przedewszystkiem zadokumentować niemoc wyobraźni wobec tych faktów. Albowiem nawet wyobraźnia pisarza w pewnym momencie przestaje działać. Niewątpliwie słyszeliście o kolejowych wagonach śmierci, w których wywieziono z polskich miast niemal całą ich ludność żydowską. Jakkolwiek relacje świadków tych masowych deportacji coraz częściej pojawiają się w prasie, trudno nam wyobrazić sobie takie obrazy n. p. jak wagon bydlęcy, normalnie mogący pomieścić 40 ludzi, wypełniony 120 ludzkiemi ciałami. Jeżeli któraś z ofiar wytrzymuje podróż w takim wagonie — to ginie później w specjalnie urządzonych komorach śmierci w jednym z obozów koncentracyjnych. A ginie przeważnie od uduszenia parą lub od gazu. Czyja wyobraźnia potrafi odmalować tę masową zagładę ludzi, wykonywaną przez stworzenia, które też podobno należą do ludzkiego rodzaju? Który pisarz potrafi oddać to, co się dzieje w duszach ofiar podczas takiej egzekucji, przypominającej tępienie owadów? A jakiż nowy Dostojewski i Conrad w jednej osobie pokusiłby się dziś o sportretowanie duszy młodocianych gestapowców, którzy z zimną krwią wykonywują polecenia t. zw. "Vernichtungskommission" w Polsce?

W jednej z najwybitniejszych powieści europejskich, jakie ukazały się w okresie między obiema wojnami światowemi, w "La condition humaine" (Man's Fate) André Malraux, znajdujemy wspaniałą w swej nieludzkiej grozie scenę palenia żywcem jeńców wojennych w piecu lokomotywy. W innej wielkiej epopei, napisanej w tym okresie, w "40 dniach Musa-Dagh" Franza Werfla, podziwiamy wielką plastykę opisu zagłady Ormian w Syrji. Mam wrażenie, że wstrząsające opisy Malraux i Werfla są miniaturami na idylliczne tematy w porównaniu z rzeczywistością Oświęcimia i Treblinki. Istnieją granice ludzkiej wyobraźni, poza któremi zaczyna się nie sztuka, lecz obłęd. Żyjemy zatem w epoce zorganizowanego obłędu, przed którym bronimy się zamykając naszą wyobraźnię automatyczną klapą bezpieczeństwa.

W dawniejszych czasach przerażały mnie powieści Dostojowskiego, a wielokroć ponawiana lektura "Biesów" i "Braci Karamazow" kończyła się przeważnie chorobą. Dziś czytam Dostojowskiego jakby to był Dickens. Są to legendy z prehistorji ludzkiego okrucieństwa, które było indywidualne, a nie zbiorowe. Wyobraźnia nasza łatwo połyka grozę świata przedstawionego w tych powieściach, dezertuje jednak przy opisach Treblinki i Oświęcimia. Poprostu w pewnym momencie odmawia posłuszeństwa. Być może, iż jest to poprostu tchórzostwo duszy, spowodowane lękiem przed obłędem.

Do prowadzenia wojen niezbędne jest podobno ubóstwo wyobraźni lub zupełny jej brak. Lecz autorzy obecnej wojny i wszystkich jej okropności, oraz oficerowie, podoficerowie i urzędnicy Gestapo, obdarzeni są większą wyobraźnią niż Dante i Szekspir razem, jeśli chodzi o pomysłowość w zadawaniu ludziom mąk. Drugi rodzaj wyobraźni, powodujący współczucie, został w nich chemicznie usunięty. Ten rodzaj wyobraźni, właściwy artystom i pisarzom, zdaje się być w obecnej chwili całkowicie pokonany przez twórczą fantazję katów. Tak więc "życie" w całej pełni zatryumfowało nad sztuką i literaturą. Rolę twórczej wyobraźni artystów i pisarzy przejęli na czas wojny t. zw. ludzie czynu, ludzie gwałtu, ludzie zbrodni. Wymyślają oni obrazy, reżyserują sceny, inscenizują widowiska, wobec których wyobraźnia współczująca jest bezsilna.

Użyłem martyrologji mojego kraju tylko za pretekst do rozważań nad wyobraźnią pisarza w obecnej wojnie. Chodzi mi jednak nietyle o chwilę obecną, ile o przyszłość, w której wyobraźnia pisarza będzie musiała znów odegrać swą rolę. Gdy wojna ta minie i ustanie groza, rozpętana przez barbarzyńców, znów w ciche i bezpieczne wieczory przerażać nas będzie Dostojewski. Europa, będąca dziś dżunglą, wobec której dżungla Kiplinga — to rajski ogród, stanie się cichem cmentarzyskiem, pełnem romantycznych ruin. Wrócimy w te ruiny z bijącem sercem i może wówczas ożyje twórcza wyobraźnia artystów i potrafi opanować spokojnie, to, co dziś dzieje się w Polsce. Tymczasem przechodzi ona kryzys.

Wartoby w chwili obecnej zająć się również dezynfekcją i rewizją słów, które często już nie służą wyobraźni. Wymyślcie, o myśliciele, jakieś nowe slogany, któreby uratowały narody Europy od zagłady, i przywiązały je do spokojnych i uczciwych form życia. Bo uszy już nam puchną od słuchania przebrzmiałych, zużytych i nic w końcu nie wyobrażających frazesów wojennych, któremi rozbrzmiewa prasa i radjo. I nawet niektórzy mężowie stanu, ludzie dorośli i wykształceni, którzy w prywatnych rozmowach używają rozsądnych i konkretnych słów, gdy przemawiają publicznie, posługują się zespołem symboli słownych które oddawna już nic nie znaczą.

Oto mój głos w imieniu literatury polskiej, która w umęczonej Polsce milczy, lecz gdy się kiedyś odezwie, niewątpliwie będzie miała cywilizowanemu światu wiele ciekawych rzeczy do zakomunikowania. I kto wie, czy właśnie ona, wyszedłszy z lochów niewoli, nie odmłodzi, nie odświeży współczującej wyobraźni.

W imię tej literatury, która przez sześć wieków wiernie służyła humanistycznym ideałom, pozdrawiam Kongres Pisarzy i życzę zebranym szczęśliwej i owocnej pracy dla wspólnego dobra naszej cywilizacji.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SONET WOJENNY

Oto giną katedry, wieże i pomniki,
Nasz gotyk i renesans, na których się złocą
Smugi wieków, jak linje piaskowca i miki,
I gdzie zbiegła się wiara, by żyć były poco.

Zapalone bombami, gdy kruszą się nocą,
Gdy w gruz je wali człowiek, homo sapiens dziki,
Skąd przyzywać ratunku, jak spieszyć z pomocą,
Muzy wołać umilkłe czy przeklinać Niki?

Umiera nasza sława. W tym zgubionym świecie,
Gdzie nawet kamień kona śród ognia i dymów,
Ocal nas, wieczne słowo, zaufaj poecie.

Nad ruinami szeptem zaklęcie swe wymów
A świat przetrwa noc straszną, świat w jednym sonecie,
S[illegible]nastu wierszy i czterech tych rymów.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

KRÓLOWA NOWOCZESNYCH BITEW: MINA

Miny przez długi czas były dla mnie legendą. W czasie pokojowej służby wojskowej w Polsce wykładowca saperki wspomniał kiedyś, że w r. 1918 na froncie zachodnim pola minowe biegły przed linją okopów. Pole minowe — to brzmiało groźnie. Wyobrażałem sobie ze strachem co się dzieje, gdy żołnierz dotknie nieopatrznie stopą takiego pola minowego — oczywiście całe pole minowe z nim razem i z hukiem strasznym wyleci zaraz w powietrze. W praktyce codziennych ćwiczeń piechoty pola minowe nie wyglądały jednak wcale groźnie. Poprostu miny dla naszej dzielnej piechoty nie były przeszkodą. Schemat ćwiczeń piechoty był klasyczny i niezmienny, tak jak go ustalił rok 1920. Drużyna, pluton, czy kompanja (a na jesiennych manewrach bataljon) zajmowały "podstawę wyjściową do natarcia"; stąd zwykle wyruszano w kolumienkach; z nich rozwijano się w tyraljerę; bowiem posuwano się skokami naprzód; wreszcie nakładano bagnet na broń i z okrzykiem "hurra" szturmem zdobywano okopy nieprzyjaciela. Jako rezerwista moje sukcesy na ćwiczeniach zawdzięczałem zwykle wspaniale wykonanemu szturmowi. Dowodzeni przezemnie żołnierze najgłośniej krzyczeli "hurra!" Wyżsi dowódcy słysząc z drugiej strony zamarstynowskiego pola ćwiczeń dzikie ryki szturmującego plutonu nie posiadali się z zachwytu. Tajemnicy tego entuzjazmu żołnierskiego pilnie strzegłem. Była ona prosta. Trzeba było tylko powiedzieć żołnierzom, spokojnie leżącym w bruździe: "No chłopcy, teraz ładnie krzyknijcie hurra, to ćwiczenia się skończą i zaraz pójdziemy na obiad". Szturmy zatem wypadały świetnie, ani "Jasiom ze wschodu," jak popularnie zwano rekrutów, ani generałom co przyjeżdżali z Warszawy, nie przychodziło na myśl, że przed okopami nieprzyjaciela mogłoby się znajdować pole minowe, i że na nie już gromki krzyk z piersi żołnierskiej nie wystarczy. W czasie mojej służby wojskowej w Polsce nigdy miny na oczy nie widziałem.

Przyszedł wrzesień 1939 i o minie zupełnie zapomniałem. Gdy w tempie godnym Maratonu wycofywałem się przed niemieckimi czołgami, nie przychodziło mi nigdy przez myśl, że mina mogłaby zatrzymać te obrzydliwe szare czołgi z białymi krzyżami. Potem przyszła Francja, szkolenie od nowa w Bretanji. Chcąc uniknąć powtórnego wyścigu mojej biednej pary nóg z niemieckimi motorami, zaraz poprosiłem o przeniesienie choć do działek przeciwpancernych, skoro czołgów nadal nie było. W starej twierdzy francuskiej nad Kanałem, w Granville, wnuk marszałka Polski, porucznik strzelców alpejskich Fournier-Foche, wykładał nam taktykę broni przeciwpancernej. W pewnej chwili powiedział: "A w miejscach, któremi czołgi najprawdopodobniej zechcą przejeżdżać, założymy miny." Nieśmiało poprosiłem o pokazanie miny. "Co, nie widział pan miny, nie mieliście ich w Polsce?" Potem się okazało że i Francuzi ich nie mieli, gdy niemieckie dywizje pancerne rolowały linje francuskie w Ardennach.

Pojechałem do Narwiku, wróciłem do Bretanji, historja września powtórzyła się kubek w kubek, jako że znowu, gdy nadjechały niemieckie czołgi, nie miałem działek, a o minach znowu nikt nawet nie myślał. Minęło pół roku, znalazłem się w innej części świata, w Egipcie. Poraz pierwszy dobra własna ofensywa szła naprzód. I nagle wszyscy poczęli mówić i pisać o minach. Że przy zdobywaniu wielkich twierdz włoskich, Bardji i Tobruku, główne zadanie przypadło australijskim saperom. Że saperzy w natarciach posuwali się **nie za** ale **przed** piechotą a nawet i czołgami, i rozbrajali włoskie pola minowe otwierając drogę czołgom. Dotychczas żywiłem dla saperów pogardę. Uważałem ich za broń tyłową, której główną funkcją jest kopanie wzorowych latryn. Teraz nabrałem dla nich szacunku. Zwłaszcza gdy przez pewien czas pod Aleksandrją stołowałem się w ich doskonałem kasynie. Saperzy przychodzili wtedy na moje stanowiska z groźną miną i mówili że "wytyczają pole minowe." Ale narazie wtykali tylko patyki w ziemię. Z ciekawością czekałem, aż przywiozą miny. Tym razem nie wykręcą się sianem. Będą musieli pokazać. Niestety byłem i tym razem optymistą. Saperzy powiedzieli: "Min jest mało, narazie idą tylko na front. Gdy Niemcy podejdą, wtedy w ostatniej chwili dostaniemy miny." To mnie zmartwiło. Wiedziałem już, jak taka "ostatnia chwila" zwykle w praktyce wygląda.

W maju 1940 r. wróciwszy z urlopu spędzonego na łonie narodu wybranego w Palestynie, nie zastałem już brygady pod Aleksandrją. Brygada właśnie wyruszyła parę dni przedtem w rejon przyfrontowy, do pustynnej twierdzy Matruh. Dojechałem tam szczęśliwie, trafiłem na obiad. Wszyscy w kasynie bataljonu byli głęboko zaaferowani. Kapitan Gębski o mało nie wyleciał na minie! Jechał samochodem polną drogą obok pola minowego. Kierowca zboczył z drogi i tylnem kołem stuknął leżącą na skraju minę. Mina wybuchła, ale tuż za wozem. Nikomu nic nie zrobiła. Kapitan był bohaterem dnia.

Nazajutrz pojechałem rozpoznać pozycję, na której miały stanąć działka przeciwpancerne naszej kompanji. Nieprzyjaciela jeszcze nie było, ale ruch na pozycji był i bez tego gorączkowy. Na polu stało jeszcze kilka samochodów. Ówczesny dowódca piechoty brygady, pułkownik Peszek chodził energicznie tam i nazad, przykucał, klękał. Jak zawsze był nieumęczony. Zasapany dowódca bataljonu z trudem mu nadążał. Dowódca kompanji, dowódcy plutonów, oficerowie saperów zwijali się jak w ukropie. Natomiast na środku pola, na wygodnym leżaku siedział rozciągnięty jakiś oficer w imponującym hełmie tropikalnym na głowie, i wachlarzem o kształcie końskiego ogona leniwie odpędzał muchy. Pomyślałem: to pewnie brygadjer brytyjski. Zasalutowałem gracko – odpowiedział mi poufały gest. Podszedłem bliżej. Ze zdumieniem stwierdziłem, że był to Kazio Gr. Z cywila docent prawa międzynarodowego, jako b. stypendysta Rockefellera mówił dobrze po angielsku, i był oficerem łącznikowym u saperów. Wobec czego zagadnąłem go:

— Słuchaj, ty przecież jesteś saper, może mi pokażesz minę?

Kazio zastanowił się chwilę poczem odrzekł:

— Wiesz że cię cenię, ponieważ jesteś rezerwistą a pozatem bohaterem z pod Narwiku (w tym ostatnim określeniu kryła się ironja) i dlatego dam ci jedną radę. Gdy będziesz przechodził drogą, gdzie po jednej stronie będzie biegło pole minowe, przejdź szybko na drugą stronę. Wszelkiego bowiem kontaktu z minami rozsądny człowiek winien unikać.

Ustami Kazia przemawiał wtedy nietyle saper co mędrzec. Zresztą już na drugi dzień mogłem zobaczyć skutki min. Pracowaliśmy przy budowie stanowiska. Nagle na przeciwległem zboczu góry, na którem saperzy zakładali pole minowe posłyszeliśmy huk i zobaczyliśmy czarną chmurę dymu unoszącą się nad ziemią. Ktoś ciekawy podszedł zobaczyć co się stało. Po chwili wrócił przejęty: kapral od saperów wyleciał na minie. Nie żyje. Obie nogi mu urwało. Przed naszem stanowiskiem też biegło odgrodzone drutem pole minowe, t. zn. miny rozłożone były na szerokość w pięciu rzędach w odstępie kilku metrów jedna od drugiej. Zaczęliśmy z niepokojem spoglądać na drut odgradzający pole minowe. Drut był cienki, niepokaźny, ale jaką piekielną potęgę oznaczał. Kapelan w nocy wracał z bataljonu do namiotu, było właśnie świętego Jana, imieniny paru kolegów, nie mógł się wyprosić od wypicia paru kieliszków. Nagle zobaczył drut. Przypomniał sobie co ten niewinny drut oznacza. Chciał się cofnąć. Nagle pomyślał: a może ja już przeszedłem pole minowe, i teraz wracając właśnie natrafię na minę? Nie było rady: położył się kapelan na piasku pod drutem i tak przespał do rana.

Wreszcie zobaczyłem minę! Saperzy przyjechali i do nas je zakładać. Wyglądały jak dwa talerze do zupy złożone razem. Z wierzchu jest żelazo, w środku materjał wybuchowy. Gdy górny talerz się pociśnie, zapalnik działa automatycznie i mina wybucha.

Gdy opuszczaliśmy Matruh, przechodząc do Sidi Haneish, dowódca kompanji strzeleckiej, kapitan Zając, wspomniał że ma w rejonie zapas rezerwowych min i nie wie co z niemi zrobić. Kapitan Różański, dowódca drugiej baterji przeciwpancernej lubi wszelkie nowości. Zapalił się ostatnio do min, uznał że to świetny wynalazek. Wobec czego zaraz mówi: "Kapitanie, daj mi pan te miny, ja je z sobą wezmę na nowe miejsce postoju." Zając się zgadza a Różański uradowany mówi: "Świetnie się składa, Pruszyński ma być u pana jutro z wozem to przy sposobności weźmie miny." Dotychczas beztrosko przysłuchiwałem się rozmowie ale teraz poczułem zapach trupi. Wspomniałem radę mądrego Kazia. Podróżować aż 3 kilometry szosą z ładunkiem min! Szoferzy jeżdżą pustynią jak warjaci, nie daj Boże zderzenie. Choć strach mnie obleciał, jednak wypadało powiedzieć: "Doskonale, panie kapitanie, przewiozę." Ale cały wieczór się martwiłem. Aż doszedłem do wniosku, że ostatecznie miny przewieźć można, ale nie pozwolę ich załadować ani wyładować z wozu własnym żołnierzom. Niech miny ładują ludzie Zająca a wyładują Różańskiego. Tak też zrobiłem. Przyjechałem do Zająca. Załatwiłem co trzeba, poczem Zając mówi. "No poruczniku, teraz podjedziemy po miny, niedaleko, tu obok." Na to odpowiadam "Dobrze, niech pan weźmie ludzi." "Poco ludzi?" pyta kapitan. "Bo moi nie znają się na minach, nigdy nie mieli z niemi do czynienia, boję się wypadku. Pan w kompanji może ma specjalistów." Skończyło się na tem, że wróciłem bez min. Różańskiego też w międzyczasie opuścił zapał, zapewne szef zaniepokoił się obiecanym ładunkiem dynamitu. Dość że kapitan powiedział: "To może i dobrze, że pan nie przywiózł, nie daj Boże jeszcze wypadek."

Mina była wtedy dla nas zarówno sprzymierzeńcem jak nieprzyjacielem jeszcze nieznanym i dlatego tem groźniejszym.

Kazio pierwszy przestał się bać min. Kiedyś zastałem go zajętego oglądaniem jakiegoś przyrządu, wielkości skrzynki polowego telefonu. Spojrzał na mnie dumnym wzrokiem i powiedział:

— Wiesz co to jest? Wykrywacz min. Broń ultranowoczesna. Saper rozpoznający pole minowe niesie to na piersi, na uszach ma słuchawki. Gdy zbliża się do miny, słuchawki wydają dźwięk. Mina jest rozpoznana.

Bardzo mi ten przyrząd trafił do przekonania. Pomyślałem sobie, że dobry cywil inżynier więcej na tej wojnie zrobi **niż** pułk wymusztrowanej piechoty. I ja przestałbym bać się min, gdybym miał taką maszynkę. Zaproponowałem:

— Nie mógłbyś mi dać takiego instrumentu?

— Żartujesz, odpowiedział Kazio, mamy zaledwie jeden taki i to wypożyczony z dywizji.

Ale dopiero w Tobruku mieliśmy poznać potęgę min. Oblężona twierdza — to było królestwo miny. Minę miało się na śniadanie, obiad, kolację, z miną spędzało się noc. Wszędzie miny, miny, miny. Wszystko sprowadzało się do min. Dlaczego nie można samemu wychodzić z rejonu? Bo pełno min na drogach, jak rani jednego, to drugi choć udzieli mu pomocy. Dlaczego Niemcy nie mogą od sześciu miesięcy zdobyć Tobruku, pytamy Australijczyków. Bo są miny — odpowiadają. Australijczycy i miny, to były dopiero elementa, które potrafiły dokonać tego, czego poprzednio nie potrafiła dokonać żadna z armji europejskich, t. zn. wstrzymać pancerne hufce niemieckie w ich dotychczas nieprzerwanie zwycięskim marszu. Przed minami tobruckiego perymetru zatrzymały się dwie dywizje pancerne Afrykańskiego Korpusu Rommla. Na minach tobruckich wyleciało w powietrze część jego czołgów. Niestety na minach tobruckich wyleciało i wielu australijskich, polskich i brytyjskich żołnierzy.

Gdy któregoś wrześniowego ranka zjawiłem się na pozycji tobruckiej, gdzie baterja miała zluzować Australijczyków, po przywitaniu i zjedzeniu solidnego śniadania oglądnąłem pukawki a następnie poszliśmy się przejść po odcinku. Australijski porucznik informował mnie gdzie co się znajduje, poczem uczynił niewyraźny ruch ręką przed siebie i powiedział:

— A tu dookoła biegnie pole minowe. Pierwsze. A tam dalej drugie.

Zainteresowało mnie to. Poprosiłem o plan. "Niech pan poprosi kapitana." Poprosiłem kapitana. "Niech pan się upomni w bataljonie". Upomniałem się w bataljonie. "Komisja swego czasu wzięła plan i pojechała by sprawdzić w terenie. Wyleciała na minie. A z nią uległ zniszczeniu plan."

Najgorzej było z zaminowanymi drogami. Idę kiedyś z czarnym Piotrusiem na stanowisko "pod wieżą". Jestem poraz pierwszy w dzień na tym odcinku Idę drogą, nie spodziewam się min. Rozglądam się dookoła, przyszedłem przecież zorjentować się w terenie, zdaleka widać pozycje włoskie. Nagle Piotruś staje i pyta:

— O panie poruczniku, co to jest, wystaje tu z pod ziemi?

Patrzę a tu koło nogi Pietrka mina wystawia z pod ziemi czarną mordę i spogląda na nas złowrogo.

— Dziękuj Bogu Piotrze, mało co a byłaby tu zamiast ciebie mokra plama.

Rozglądam się po ziemi, a dalej na drodze widzę więcej kretowin — wszystko to są miny. Poprostu weszliśmy na zaminowany odcinek drogi. Zawracamy Teraz widzę, że na drodze leży kilka kamyków. To one oznaczają że droga jest zaminowana. Tylko na piaszczystej drodze trudno te kamyki dostrzec!

Innym razem poszedłem do sąsiedniego działonu 3-ej baterji nawiązać łączność. Wracam nieznaną drogą. Naraz kapral Serednicki, który szedł parę kroków za mną, mówi:

— No, ale pan porucznik miał szczęście, nastąpił nogą tuż obok miny!

— Gdzież jest tu mina?

Serednicki pokazuje kretowinę. Zawracam i ostrożnie odgrzebuję piasek. Wyczuwam palcami pod piaskiem gładką blachę. Byłby fajerwerk! Idziemy ostrożnie dalej. Jest kretowina druga, trzecia. Droga zaminowana. Też była zagrodzona kamykiem.

Mina w Tobruku zachowuje się jak żołnierze — w dzień naogół śpi spokojnie a w nocy dopiero działa, pokazuje co potrafi

Gdy mrok zapada, perymetr tobrucki się ożywia. Wozy z prowiantem, wodą, amunicją dążą piaszczystymi traktami w stronę pierwszej linji. I ja podążam do wydzielonego działonu. Prowadzi wóz doświadczony kierowca Ludwik Bobowicz. Rozpoznaliśmy drogę za dnia — winniśmy trafić w nocy. Mam wszystko w głowie: dojedziemy do trzech słupów, stąd prosto traktem na południe; po trzystu metrach trzeba uważać, mija się pierwsze pole minowe, przejście wskazuje drut, którego w nocy nie widać, oraz beczki; dalej jedzie się prawie kilometr, poczem stoi beczka od niej trzeba kręcić w prawowskos nie daj Boże jechać nawprost, bo wjechalibyśmy na miny. Mam busolę w ręku, przedemną świeci licznik. Przejechaliśmy przeszło kilometr, beczki niema. Ciemno choć oko wykol; Ludwik wysiada z wozu, maca ziemię, niema nietylko beczki ale i śladów kół. Zjechaliśmy z drogi. Ludwik chce iść szukać, wstrzymuję go. Jeszcze wejdzie na minę. Niema innej rady tylko czekać aż księżyc wzejdzie. Po godzinie się rozjaśnia. Wracamy własnym śladem. Idę przed wozem i wskazuję drogę. Po przejechaniu stu metrów odnajdujemy beczkę. Dojeżdżamy do działonu spóźnieni o godzinę.

Najgorsze z całej drogi do działonu będą ostatnie trzysta metrów, które się przejeżdża w obrębie pozycji. Tu niemal każden skrawek ziemi jest zaminowany, droga miejscami również, trzeba ciągle robić objazdy, raz w prawo, raz w lewo. To też zawsze ktoś z działonu wychodzi na nasze spotkanie. Ale po tygodniu, gdy drogę tę przeszedłem kilkanaście razy pieszo w dzień, a przejechałem kilkanaście razy w nocy, znam tu niemal już każdy schron, każdy zakręt, każdy kamyk. To też gdy którejś nocy sam prowadzę wóz, rezygnuję z pomocy czekającego przewodnika. Czwartym biegiem przejeżdżam trasę. Za-

Dokończenie na str. 2-ej



Prezydent R. P. obserwuje ćwiczenia artylerji przeciwpancernej



Podczas wizyty w 1 Dyw. Pancernej Prezydent R. P., Władysław Raczkiewicz, zajął miejsce w wozie pancernym i udał się na teren ćwiczeń.

(Dalszy ciąg ze str. 1-ej)

KRÓLOWA NOWOCZESNYCH BITEW: MINA

kręty się udały. Dojechałem szczęśliwie. Czuję się jak po wygranej rundzie meczu. Meczu z minami.

Niestety po paru dniach przychodzi zmiana stanowisk. Kapitał czasu i ryzyka którym się zdobyło znajomość rozkładu min odcinka idzie na marne. Inne pole minowe na drugim końcu twierdzy zaprasza nas na nową rundę.

Nowa pozycja położona jest o kilkanaście kilometrów od starej. Najprzód mam sam pojechać, oglądnąć przyszłe stanowiska. Wyjeżdżamy w dzień, ale wracać będziemy w nocy. Z dowództwa australijskiego bataljonu dają mi przewodnika do kompanji. Tu zostawiam wóz. Gdy się ściemni, nadchodzą ze stanowisk żołnierze australijscy do kuchni po żywność. Idąc z powrotem do siebie prowadzą mnie na stanowisko. Idziemy ścieżką, po której rozciągnięta jest szeroka taśma. Coraz to któryś z Australijczyków schyla się i sprawdza czy jest taśma. Pytam, gdzie jest pole minowe. Odpowiada:

— Dokładnie nikt nie wie. Na początku zakładali tu miny Włosi. Potem Anglicy. Potem Niemcy, gdy w maju zdobyli ten kawał pozycji. Potem myśmy zakładali. A wielu z nas co zakładało już nie żyje. Trudno rozpoznać teraz gdzie są miny. W dzień wychylić głowy ze schronu nie można, bo Niemcy są o 600 metrów i celnie strzelają. Wobec czego uważamy że całe przedpole jest zaminowane i chodzić można bezpiecznie tylko po taśmie.

Spojrzałem z uszanowaniem i wdzięcznością na płócienną taśmę.

Po paru tygodniach codziennego spacerowania doszedłem do wniosku, że orjentuję się należycie w labiryncie taśm przedpola. To też gdy pewnego ranka otrzymałem telefon z dywizjonu aby przygotować na wieczór przewodnika, bo pułkownik przyjdzie dokonać inspekcji stanowisk, oczekiwałem go w pojedynkę.

— No co, jest przewodnik, spytał pułkownik, możemy zaraz ruszać?

— Pan pułkownik pozwoli że sam będę przewodnikiem, znam drogę jak mniej więcej każdy z moich żołnierzy, bo codzień nią chodzę.

Pułkownik przyjął meldunek do wiadomości i ruszyliśmy. Po taśmie doszliśmy do pierwszego stanowiska. Stamtąd po drugiej do następnego. Pułkownik był w dobrym humorze, rozmowny, zagadaliśmy się. Nagle spojrzałem pod nogi i stwierdziłem że niema taśmy.

Ale była ścieżka. Wiatr może zwiał taśmę, pomyślałem, niema co robić niepokoju, pewnie zaraz taśma się znajdzie. Poszedłem dalej, za mną pułkownik, na końcu adjutant. Szliśmy parę minut, ale taśmy nie było. Co gorsza i ścieżka nagle znikła. Co robić? Wracać nie chciałem, żołnierze zobaczą że zabłądziłem. Po drugie nie mam wcale gwarancji, że odnajdę drogę do stanowiska, a nie wyjdę na Niemców. Bezpieczniej iść w kierunku środka twierdzy. Noc była jasna, księżyc świecił. Zacząłem iść wolniej, ostrożniej, patrząc pod nogi.

— Panie pułkowniku, melduję że coś z drogą niewyraźnie, taśma znikła. Kierunek zasadniczy mamy dobry i powinniśmy wyjść na dowództwo baonu. Ale proszę iść moim śladem i starać się stawiać nogi tam, gdzie ziemia nie jest wzruszona I na wszelki wypadek weźmy podwójne odstępy.

Pułkownik nie stracił humoru. Szedł moim śladem i żartował:

— A to porucznik spryciarz... myśli sobie że jak pułkownika w pole minowe wyprowadzi, to na drugi raz pułkownik nie przyjdzie na inspekcję, głowę po nocy zawracać, w bridge'u przeszkadzać... a to jucha porucznik...

Ale jakoś mieliśmy szczęście tej nocy.

Niestety nie zawsze kończy się dobrze Już jest wielu rannych od min, są i zabici. Jeden z pierwszych zginął dowódca kompanji strzeleckiej. Największy procent strat mają saperzy. Dowódca ich, kresowiak o dobrem sercu, martwi się co wieczora, gdy ich na robotę wysyła — wie że co noc któregoś trafi. Kiedyś w biały dzień samochód australijski wyskoczył na minie. Nasi skoczyli na pomoc, załadowali australijskiego majora na własny wóz, wiozą do szpitala. Nagle oni skolei wylatują na minie. Z deszczu trafić pod rynnę — niedobrze. Z miny na minę — jeszcze gorzej. Bardzo nieprzyjemnie podróżować po twierdzy nocą. Coraz to widzi się na polu błysk, a po chwili dochodzi cięki, głuchy huk, zupełnie inny jak pocisku artylerji. Podjeżdża się w tym kierunku, pilnując tylko jeszcze lepiej drogi. Po chwili podchodzą do wozu jacyś osowiali żołnierze. Mówią jakby od rzeczy. Bo to właśnie ich wysadziło, jeszcze nie zdążyli przyjść do siebie. Wreszcie którejś nocy i na mnie przyszła kreska.

Luzowaliśmy działon brytyjski. Na skrzyżowaniu dróg czekał nas przewodnik Anglik. Stanął na stopniu, miał prowadzić ale w pewnej chwili stracił orjentację. Pamiętaliśmy kąt z planu — prosto północ. Ładna gwiazdka mrugała do nas z nieba. Uznaliśmy z Karolkiem, że to będzie Polaris. Jedziemy spokojnie zapatrzeni w naszą gwiazdę. Nagle jak nie huknie! Po chwili leżałem już na ziemi, koło mnie jęczał ranny Anglik, dostał w nogę. Ktoś wyskoczył w pole, wołając: "Kryć się! Artylerja!" Ryknąłem: "Leżeć w miejscu, jesteśmy na polu minowem!" Nadbiegli na pomoc Anglicy, pokazali wyjście z pola. Nadszedł i kapitan brytyjski, którego miałem luzować, "Jak się pan czuje? — Zaraz przyniosę whisky, którą chowam na czarną godzinę." Czułem się jakbym wrócił z tamtego świata, bębenki w uszach dzwoniły mi przez trzy dni.

Mina wybuchła wprost pod przedniem kołem, rozwaliła ciężkie koło ciężarówki w strzępy. Byłem bogatszy o jedno doświadczenie. Stwierdziłem, że skutki wybuchu miny pod samochodem są zależne od dwóch elementów: szybkości wybuchu miny oraz szybkości, z jaką jedzie samochód. Jeśli mina wybuchnie pod samem kołem, wtedy uderzenie idzie w koło i pasażerowie wychodzą mniej więcej cało. Jeśli mina jest stara, pordzewiała, zapalnik nadpsuty, a samochód szybko jedzie i natrafi przedniem kołem, wtedy mina wybucha pod szoferką, zwykle siedzącym w niej urywa nogi. Dlatego Australijczycy podłogę szoferki tapetują workami z piaskiem. Gdy wóz natrafił na specjalną minę przeciwczołgową, to cały idzie w strzępy, siła jej jest tak wielka. Tylko te miny na szczęście rzadko się spotyka.

Gdyśmy się zagospodarowali na nowej pozycji, postanowiłem wytyczyć nową ścieżkę przez pola minowe, którąby połączyła wysunięte działony. Od czego Kazio? Zadzwoniłem do niego, wieczorem zameldowali się dwaj saperzy. Oni rozminują pole minowe.

Za dnia obliczyłem kąt kierunkowy przyszłej ścieżki, teraz dobrałem odpowiednią gwiazdę i pokazałem ją saperom. Z głębokiem uszanowaniem przyglądałem się tym specjalistom nowoczesnej wojny. Zdziwiłem się jednak, że nie mają z sobą mądrej skrzynki, co brzęczy w pobliżu miny. Gdy spytałem, jakie mają narzędzia do wykrywania min, pokazali mi żelazne krzywe drążki. Kapral był energiczny, zaraz zakomenderował towrzyszom: "No ty zaczynaj, idź przodem a ja będę wmocowywał taśmę". Saper ukląkł i powoli, ostrożnie rękoma macał ziemię. Kapral się zniecierpliwił. "Co tak wolno idziesz? Boisz się? Jak tak będziesz wlókł się to do rana nie skończymy." I mnie się wydało, że saper czuje się w roli wykrywacza min — nieśmiało. Coś mnie tknęło i zapytałem:

— Kolega dawno jest w Tobruku?

— Od trzech dni.

— A w saperach?

— Dziś rano mnie przydzielili z kolumny sanitarnej.

Kapral zatem sam się wziął do rzeczy. Pokazał nam własny, specjalny sposób wykrywania min. Mianowicie szedł normalnym krokiem przed siebie, a gdy widział po drodze jakiś krzaczek czy podejrzaną kretowinę, rozdawał im kopniaki Przerażony tak bezceremonjalnem podejściem do wszechwładnych min, cofnąłem się lekko do tyłu. Z niepokojem obserwowałem energiczne ruchy dolnych kończyn kaprala. Z trwogą czekałem, kiedy wreszcie któraś obrażona kopniakiem mina wyrżnie kaprala, że mu w piętę pójdzie! Miał jednak chłop szczęście.

Ci dwaj fachowcy poderwali me zaufanie do wiedzy tajemnej saperów. To też gdy trzeba było dowieźć wodę i cement i w tym celu poszerzyć ścieżkę, aby samochód mógł przejechać, postanowiłem dokonać tego o własnych siłach. W nocy nie należało ryzykować. Wybraliśmy dzień, kiedy wiał hamsin, gdy zadymka była taka, że widać było tylko na dziesięć kroków. Taki dzień był idealny. Można było chodzić po przedpolu i nie być widzianym przez Niemców. Natomiast nietrudno było dojrzeć miny zakopane przy samej ścieżce, odkopać je, pieczołowicie zanieść dalej i tam znów zakopać.

Gdy zmrok zapadł, załadowaliśmy wóz i ruszyliśmy w stronę stanowiska. Gdy zaczęła się ścieżka, zatrzymałem wóz i kazałem wszystkim wysiąść. Nie chciałem niepotrzebnie narażać żołnierzy, nie jesteśmy fachowcami, mogliśmy przy rozminowywaniu jakąś minę przeoczyć. Kilku żołnierzy radośnie powitało mój rozkaz, kilku się obraziło. Pojechałem naprzód. Sam mknąłem środkiem pola minowego. Byłem dobrej myśli. Zabawnie byłoby rzucić teraz granat — żołnierze idący z tyłu byliby przekonani, że trafiłem na minę! Byłby kawał, robiliśmy sobie kawały nieraz w Tobruku. Dojechałem do stanowiska szczęśliwie, wyładowaliśmy beczki i worki, wróciłem na m. p. Na drugi dzień wieczorem, jak zwykle przyszedł żołnierz z działonu po żywność, i zaczął od złożenia gratulacji:

— No, pan porucznik miał szczęście. O mały włos a byłyby z wozu i pana porucznika drzazgi.

Poszedłem na stanowisko i oto co zobaczyłem. O parę metrów od stanowiska, w miejscu, w którem uważaliśmy że napewno min niema, w którem wszyscy wieczorem od dawna swobodnie chodzili, leżała długa na metr mina. Włoska ciężka mina przeciwczołgowa. Przedtem była tak zadeptana, że nikt jej nie zauważył. Nie wybuchła, ponieważ zapalnik nie reaguje pod ciężarem samego człowieka. Zawracając wozem najechałem kołem na sam kant pokrywy skrzynki. Pokrywa uniosła się w górę. Dzięki temu rano żołnierze dostrzegli minę. Odkopaliśmy ją zupełnie z ziemi i uroczyście przenieśli nieco dalej na przedpole. Zakopaliśmy ją tam. Ona nam chciała sprawić pogrzeb, myśmy ją pogrzebali. Nowa runda była skończona.

Ale nie było nam sądzonem wyjść cało z meczu z tem włosko-brytyjsko-niemiecko-australijskiem polem minowem. Przyszedł dzień luzowania. Noc była czarna, chmury, deszcz. Pojechałem na prawe stanowisko, na lewe pojechał sierżant. Kierowcą był miły chłopak, Klimkowski, trochę tylko za pewny siebie. Wracając zboczył ze ścieżki, wjechał na pole minowe. Nagle rozległ się huk, tył wozu się rozleciał, trzej jadący z tyłu zostali ranni. Najciężej dzielny starszy strzelec Dadak. Jednemu tylko kierowcy nic się nie stało, bo o minę zawadziło tylne koło.

Rannych odstawiliśmy na punkt opatrunkowy, poczem trzeba było zająć się wozem. Nie można go było zostawić na przedpolu, raz bo potrzebowaliśmy wozu i należało spróbować go naprawić, powtóre ponieważ Niemcy zobaczywszy rano wóz, otworzyliby zaraz ogień w ten rejon i nasz działon, dotychczas mało nękany, mógłby coś oberwać. Trzeba było wóz wyciągnąć z zaminowanego przedpola. Nie było to zadanie łatwe. Noc czarna, o krok nie widać. Jak działać? Doszedłem do wniosku, że właściwym czasem będzie ostatnie pół godziny przed świtem, kiedy widać będzie już pod nogami ale Niemcy z daleka jeszcze nas nie dojrzą. Zaczynało szarzeć, gdy z wozem i sześcioma żołnierzami zjawiliśmy się na tem nieszczęsnem polu. Powiązałem żołnierzy taśmą, tak żeby jeden nie mógł odejść od drugiego dalej jak na metr, ustawiłem w szeregu na ścieżce, frontem do miejsca gdzie spoczywał uszkodzony wóz. Uklękliśmy. Każdy miał bagnet w ręku. Zaczęliśmy się powoli posuwać naprzód, dokładnie obmacując grunt przed sobą. Nagle ktoś mówi: "Jest!" Po chwili z innego końca znów słychać: "Druga." Była i trzecia. Odłożyliśmy je nabok, narazie nie było nawet czasu je zakopać. Tak oczyściliśmy szeroki pas gruntu od wozu do ścieżki. Bobowicz zgrabnie zajechał drugim wozem, przymocowaliśmy doń wóz uszkodzony i odholowaliśmy. Już świtało, Niemcy otworzyli ogień, widocznie posłyszeli motor ale właśnie zjeżdżaliśmy na przeciwległą stronę stoku, za którą byliśmy bezpieczni.

Ostatni raz byłem wtedy na tem polu minowym. Nie żałowałem go — był tydzień spokoju. Potem wyjechaliśmy pod Sidi Rezegh. Tam czekały nas nowe miny.

Mina to paskudny wynalazek. Nieprzyjaciela już się przepędziło, jego armaty i karabiny maszynowe, których nie miał czasu wziąść z sobą leżą grzecznie na polu. Ale zostały jego miny i one — mądre bestje same prowadzą do nas ogień. W rejonie Tobruku po zakończeniu oblężenia pozostały w ziemi setki tysięcy min. Gdy Brygada Karpacka w pogoni za nieprzyjacielem ruszyła pod Gazalę, bataljon czeski został w twierdzy i otrzymał zadanie uporządkowania tych pól minowych. Straty poniósł przytem duże.

W czasie obrony pozycji pod Gazalą, kilka miesięcy później, Niemcy zastosowali nową taktykę. Podjechali w nocy w stronę naszej pozycji i w odległości jakich siedmiu kilometrów założyli na tym no-man's landzie pole minowe. Nazajutrz wyjechałem z działkami na patrol, były z nami karjery i obserwator artylerji. W pewnej chwili usłyszeliśmy huk, z karjeru przed nami unosił się czarny dym i ktoś wołał "Pomocy". Ruszyliśmy wozem w tamtą stronę. Po chwili straszny huk rozdarł powietrze, poczułem, że gdzieś lecę i przez chwilę nie wiedziałem co się dzieje. Gdy oprzytomniałem, leżałem na ziemi, obok rozwalonego samochodu. Spróbowałem wstać, nie mogłem. Krew mi zalała oczy, potem się okazało, że kości miałem połamane tylko w dziewięciu miejscach. Młodziutki kapitan Kliś, kawaler Virtuti z pod Gazali pierwszej, dowódca patrolu, leżał koło mnie — brakowało mu kawałka pośladka. Obserwatorowi artylerji, porucznikowi Komunieckiemu w obrzydliwy sposób połamało nogę. Kierowca jego karjeru poniósł śmierć na miejscu. Był to pechowy patrol. Wszyscy oficerowie leżeli na ziemi ranni. To pole minowe było pechowe i dla innych. Miny niemieckie były ukryte starannie. Wóz nowego obserwatora artylerji, który potem nadjechał, posuwał się po śladzie czołgu, który mu się wydał bezpiecznym i naraz wyleciał w powietrze. Minę ukryto właśnie pod śladem czołgu, dorabiając potem sztucznie na piasku skład gąsienicy. Saper, który przyjechał rozbrajać to pole minowe, znalazł minę. Wyciągnął ją ostrożnie z ziemi, nagle mina wybuchła, kładąc go trupem na miejscu. Okazało się, że pod jedną miną, Niemcy ukrywali drugą i łączyli je sznurkiem. Gdy ktoś unosił górną minę, dolna wybuchała.

W rezultacie spędziłem cztery miesiące w szpitalach Aleksandrji i Palestyny, nader przyjemnie. Gdy wyzdrowiałem, znalazłem znakomity środek, by w przyszłości uniknąć, jak radził doświadczony Kazio, kontaktu z minami: poprosiłem o przeniesienie do lotnictwa.

Byłoby zaiste szczytem pechu, by zeskoczyć ze spadochronem z samolotu i wylądować na ...minie.

PS. Już widzę pogardę, z jaką moi koledzy z karpackich bataljonów piechoty czytać będą to wspomnienie. Pomyślą: "No, ale żeby pepancarz pisał o minach? Z minami to my, szara piechota, mieliśmy do czynienia." I będzie miał rację. Moje doświadczenie minowe są niczem w stosunku n. p. do takiego mego przyjaciela podchorążego Adolfa B., który ma za sobą 50 patroli pieszych za perymetr Tobruku, w czasie których specjalizował się w wykrywaniu i rozbrajaniu w ciemną noc min niemieckich. Ze wstydem muszę też przyznać, że np nigdy nie widziałem "bubi trapsa." Ta mina o pieszczotliwej nazwie była specjalnie złośliwa — po dotknięciu jej lub sznurka do którego była przymocowana, podskakiwała w powietrze kilka metrów i tam wybuchała, nie było więc jak się przed nią ukryć.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI



PANI CURIE (fotografja)



GREER GARSON w filmie: "PANI CURIE" (Metro—Goldwyn—Mayer)

ZYGMUNT KARPIŃSKI

NA MARGINESIE BROSZURY "FORTUNE"

Znany miesięcznik Fortune ogłosił niedawno specjalną broszurę poświęconą przyszłym stosunkom między Ameryką i Europą i omawiającą również szereg problemów politycznego i gospodarczego ustroju przyszłej Europy. Niektóre z pośród sformułowań zaleconych w broszurze zostały krytycznie oświetlone ze strony polskiej. M. i. zagadnieniom gospodarczym poświęcił uwagę dr. Zygmunt Karpiński, który skierował do redakcji Fortune pismo zawierające następujące uwagi:

W broszurze redakcja Fortune wysuwa postulat powołania do życia "Rady Europejskiej" której zadania w dziedzinie gospodarczej polegałyby przedewszystkiem na tem, aby umożliwić powrót nacjonalistycznej, autarkicznej polityki gospodarczej i stworzyć warunki umożliwiające swobodną i nieskrępowaną wymianę towarową na obszarze całej Europy, czyli t. zw. "intra-European free trade."

Pierwszy cel można uznać za słuszny, powszechnie uznanym jest pogląd, że polityka dążąca do samowystarczalności gospodarczej poszczególnych państw doprowadziła w ostatecznym rezultacie do osłabienia tętna życia gospodarczego na całym świecie. Wydaje się natomiast, że połączenie tego postulatu z drugim celem dokonane jest w sposób zbyt uproszczony. Nawet po odrzuceniu wszelkich zamierzeń autarkicznych, pozostaje szereg postulatów gospodarczych, dla których osiągnięcia trzeba wdać się do innych metod, a które bynajmniej nie dają się osiągnąć jedynie poprzez stworzenie wielkich obszarów gospodarczych na których wymiana towarów miałaby się odbywać bez przeszkód.

Takimi celami jest np.: podniesienie standartu życiowego w krajach gospodarczo zacofanych, uzyskanie lepszej równowagi pomiędzy produkcją rolniczą a przemysłową, uszlachetnienie w każdym kraju tej gałęzi produkcji, dla której istnieją naturalne warunki, a której rozwój był hamowany nieraz w sztuczny sposób

W stosunku do tych celów "intra-European free trade" bynajmniej nie jest metodą pożądaną, a przeciwnie może ona budzić szereg zastrzeżeń.

1) Na obszarze objętym wspólną granicą celną, naturalne siły gospodarcze wywołują zwykle tendencję, aby dzielnice gospodarcze silniej rozwinięte doznawały jeszcze prędszego i silniejszego rozwoju, podczas gdy dzielnice gospodarczo upośledzone pozostają na niskim poziomie rozwoju, lub nawet się cofają. Tego rodzaju naturalne tendencje wywołują konieczność specjalnej akcji gospodarczej, organizowanej przez państwo, celem przeciwdziałania niepożądanemu objawowi coraz to większej różnicy w gospodarczym rozwoju poszczególnych dzielnic. Tak naprzykład w Anglji podniesienie gospodarczo zacofanych dzielnic stało się ważnym problemem interwencji polityki państwowej; w Stanach Zejdn. stworzenie Tennessee Valley Authority miało podobne cele; w Niemczech — zarówno cesarskich jak i hitlerowskich — polityka szeroko zakreślonych subwencyj i pomocy państwowych starała się przeciwdziałać naturalnej tendencji ku emigrowaniu ludności z ubogich Prus Wschodnich do bogatszych i gospodarczo bardziej rozwiniętych dzielnic Rzeszy.

Przewidywać można, że utworzenie "intra-European free trade" doprowadziłoby do podobnych następstw: naturalne tendencje sprzyjałyby dalszemu rozwojowi Europy zachodniej, stojącej już na wyższym stopniu gospodarczego rozwoju, przy utrzymywaniu Europy wschodniej na dotychczasowym niższym poziomie. Objaw taki byłby oczywiście diametralnie sprzeczny z powszechnie dziś wysuwanym postulatem, mówiącym o konieczności podniesienia krajów gospodarczo zacofanych.

Autorzy broszury zdają sobie oczywiście sprawę z konieczności przeciwdziałania tego rodzaju objawom i dlatego wskazują na konieczność stworzenia specjalnej agencji, która zajęłaby się planowaniem inwestycyj i robotami publicznemi w skali ogólno europejskiej, przy szczególnem uwzględnieniu krajów gospodarczo zacofanych. Jednakże zagadnienie to jest przez nich traktowane jako drugo-planowe podczas gdy europejska unja celna jest naczelnym podstawowym ich celem. Podług ich planu bowiem, unja celna ma być stworzona możliwie prędko, o ile możności natychmiast, natomiast zagadnienie inwestycyj w krajach zacofanych ma być powierzone agencji, która dopiero ma powstać i co do której trudno przewidzieć czy będzie dysponowała odpowiednimi środkami oraz technicznymi możliwościami przeprowadzenia swego programu.

Kolejność omawianych zagadnień winna być przeto conajmniej odwrócona: w pierwszym rzędzie należy przystąpić do inwestycyj i uprzemysłowienia krajów gospodarczo zacofanych, a następnie dopiero należałoby realizować hasła większej swobody w wymianie towarowej.

Zresztą hasła tego nie można stosować z równomiernem akcentowaniem w stosunku do krajów o różnej strukturze gospodarczej. Jedna z ostatnich prac biura ekonomicznego Ligi Narodow wskazuje na to, że obniżenie taryf celnych powinno być jednostronnym obowiązkiem tych krajów, których pozycja w świecie, jako krajów wierzycielskich, została w ciągu wojny wzmocniona. (The Transition from War to Peace Economy, str. 102.)

2) Raport wskazuje na to, że Hitler narzucił Europie pewnego rodzaju wspólnotę gospodarczą. Stworzenie "intra-European free trade" byłoby właśnie kontynuowaniem i rozszerzaniem polityki Hitlera, prowadzonej do r. 1939 pokojowymi metodami, a następnie wojennym podbojem. Kontynent europejski, jako jednolity obszar celny, miałby z natury rzeczy tendencje do utrzymania samostarczalności i rozluźnienia związków gospodarczych między poszczególnymi krajami europejskimi (czy też Europą, jako całością) a resztą świata... Tego rodzaju tendencja byłaby sprzeczna z postulatem gospodarczego rozbrojenia Niemiec oraz z podstawowym interesem poszczególnych państw europejskich lub ich regjonalnych ugrupowań.

Nie zamierzając się rozwodzić na tem miejscu nad całokształtem rozbrojenia gospodarczego Niemiec, stwierdzić należy, że jednym z punktów programu odbierającego Niemcom możliwości ponownej agresji, jest pozbawienie ich możliwości traktowania innych państw europejskich, jako obszarów, uzupełniających ich gospodarstwo. Niemcy zdołały sobie zapewnić na terenie Europy te wszystkie źródła dostaw żywności i surowców, które umożliwiły im najpierw stworzenie a następnie obronę europejskiej fortecy będącej pojęciem nietylko militarnym, ale także gospodarczym. Wysoko uprzemysłowione Niemcy oparły swój byt w dużym stopniu na dostawach żywności z wschodniej Europy, co — jak wiadomo — odbiło się bardzo niekorzystnie na jej gospodarczym rozwoju. Kraje Europy wschodniej i południowo-wschodniej nie mogą bowiem wytrzymać konkurencji z taniej produkującymi krajami zamorskimi i utrzymanie u nich produkcji i wywozu produktów rolniczych w stanie nieprzerobionym — a więc przedewszystkiem zboża — hamuje ich rozwój gospodarczy. Autorzy raportu sami z dość dużym naciskiem podkreślają, że gospodarstwo tej części Europy musi być przedstawione w kierunku większej produkcji mięsa, nabiału, jarzyn, owoców oraz rozwinięciu eksportu uszlachetnionych produktów rolnych. Wydaje nam się przeto, że uznając słuszność tego postulatu, nie można mówić o tem, że kraje te mają być nadal spichlerzem zbożowym na użytek krajów zachodniej Europy, jak to raport czyni na str. 14.

3) Postulat pokojowego rozwoju stosunków światowych wymaga, abyśmy oddalili się od pojęcia "Festung Europa" we wszelkich objawach a zatem również w dziedzinie gospodarczej i dążyli do zespolenia wszystkich krajów z gospodarką światową. Zainteresowane w tem są wszystkie państwa europejskie, aczkolwiek dla rozmaitych ich ugrupowań, różne motywy wybijają się na przodujące miejsce.

Kraje Europy zachodniej, wysoce uprzemysłowione, wierzycielskie, posiadają kolonje zamorskie, z którymi łączą je liczne wspólne interesy gospodarcze.

Norwegja, dzięki marynarce handlowej, grawituje raczej do Wielkiej Brytanji i do zamorskich krajów, niż do kontynentu Europy.

Dla krajów Europy wschodniej i południowo-wschodniej, konieczność wzmocnienia wymiany gospodarczej z krajami zamorskimi jest jednym z podstawowych celów polityki gospodarczej, gdyż właśnie słabość tych związków była równocześnie powodem ich ogólno-gospodarczej słabości. Cyfry oświetlające rozmiary obrotów towarowych z krajami europejskimi z jednej strony, a z resztą świata z drugiej strony, są tu bardzo charakterystyczne. O ile chodzi o 10 uprzemysłowionych państw europejskich, to w r. 1935, 49% ich importu i 60% ich eksportu wynikało z wymiany z Europą a 51, względnie 40% z wymiany z resztą świata. Natomiast mniej uprzemysłowione kraje Europy wschodniej i południowo-wschodniej, wywoziły do krajów europejskich aż 85% ogólnego eksportu, a przywoziły aż 75% ogólnego importu, tak, iż tylko 15, względnie 25% pozostawało na obroty z resztą świata. Przewidywać należy, że stworzenie jednolitego europejskiego obszaru celnego, utrwaliłoby tego rodzaju niepożądany objaw i pozbawiałoby kraje te tych wszystkich korzyści, jakie wypływają z oparcia handlu zagranicznego na bardziej szerokim wachlarzu dostawców i odbiorców.

4) Niektóre argumenty przytoczone w broszurze dla uzasadnienia korzyści wynikających z utworzenia wielkich obszarów gospodarczych, zasługują na przyjęcie, pod tym jednakże zasadniczym warunkiem, że nie zostaną zastosowane do obszaru całej Europy, wykazującego zbyt wielkie zróżniczkowanie gospodarcze, lecz do poszczególnych części Europy o bardziej jednolitej strukturze gospodarczej..

Jeden z takich właśnie obszarów tworzą kraje Europy środkowej i środkowo-wschodniej, położone między Bałtykiem a morzami Egejskiem i Adrjatyckiem. Bliska współpraca gospodarcza krajów tego obszaru jest jedynym z podstawowych warunków ich rozwoju gospodarczego; poświęcenie większej uwagi temu zagadnieniu w studjach nad ustrojem gospodarczym przyszłej Europy byłyby przeto szczególnie pożądane.

MILCZĄCY TRAKTAT

W książce "A War Prisoner Speaks" — Constantin Joffe, Rosjanina, który walczył w wojsku francuskiem wiosną 1940 r. i przebył katusze stalagu XVII — taki znajdujemy fragment:

For three days we French prisoners had ridden, locked up in a cattle car. Three days with no food or water, our wounds unattended, the moans of the wounded making sleep impossible. Then we reached the German prison camp — Stalag XVII A — pace of the Living Dead. Barbed wire, a wall of metal thorns 14 feet high by seven feet wide, caged us. A 30 foot tower stood at every 40 yards. Topped with two machine guns, two searchlights, a telephone and soldiers, it mounted guard over us.

The veteran prisoners looked at us. Our eyes were sunk deep, haggard, troubled. Our beards were three weeks old. Our grime-caked bodies showed through our ragged clothing. Our cheeks were hollow with hunger.

The veterans who looked at us were emaciated shadows. They were Poles — tens of thousands who had been interned for nine months.

They had known torture and deprivation beyond belief. Yet their eyes held pity and compassion for us. They had starved for nine months. Yet they looked on us and saw fellow sufferers. In one great spontaneous gesture, they renounced their precious day's food ration. They gave it to us so that we might eat and be comforted. No treaty ever signed did so much for the mutual understanding of Poles and French.

KOBIETY W ARMJACH ALJANCKICH



"MAJOR BARBARA" STIMSON
kuzynka Sekretarza Wojny U. S. A.



MURIEL SMITH
wybrana na "Mrs. Britain Junior"

HENRYK A. SPITZMAN

Walka o naftę

W roku 1943 — najbardziej charakterystyczną cechą sytuacji w Niemczech, jest nastrój obronny, który pod każdym względem dominuje nad życiem tego kraju.

W konsekwencji szeregu klęsk militarnych na różnych frontach, specjalnie na froncie wschodnim, Niemcy, zmuszone przez zwycięską strategję Aljantów, wchodzą w nowy etap wojny, którą sprowokowały w bandycki sposób, przestawiając się obecnie na obronę totalną.

Najbardziej miarodajny organ niemiecki polityczny i wojskowy. źle maskuje panikę, nie ukrywa już przed zdeprymowanym i wyczerpanym narodem prawdziwej sytuacji Niemiec, obecnie oblężonej fortecy i głosi otwarcie, że celem strategji niemieckiej nie jest już kompletne zwycięstwo po zupełnem rozgromieniu przeciwnika, ale opór za każdą cenę, dla obrony własnego reżimu.

Analizując bliżej czynniki ekonomiczne, które działają na tę oblężoną fortecę — zacznijmy od rozpatrzenia sytuacji naftowej niemieckiej — mając przytem na widoku ogół warunków, w których rozwija się konflikt. Wystarczy zaznaczyć, że wojna współczesna, w której zderzają się olbrzymie zmechanizowane armje, gdzie nie przestają nalatywać olbrzymie eskadry lotnicze na polach walk o niezmiernej długości frontów, lub w głębi kraju walczącego — w tej wojnie wreszcie gdzie nasilenie walk przez opanowanie dróg morskich sięga przez oceany bez kresu — a łodzie podwodne wypełniają morza w ilościach dotychczas niesłychanych, wszystko żywi się i rozwiązuje przez naftę.

Jakie są główne źródła, które zaspakajają tę zasadniczą potrzebę w jej wielkim wysiłku wojennym?

Mamy tu w pierwszym rzędzie produkcję europejską, która za wyjątkiem nafty rosyjskiej stoi otworem dla Niemców. Zgodnie z ostatniemi datami, podanemi przez "Times" produkcja europejska wynosiła w ubiegłym roku 7 miljonów ton nafty brutto, w następującym podziale:

Rumunja	5,015,500 ton
Italja	182,500 ton
Polska	550,500 ton
Niemcy	1,250,500 ton

Następnem źródłem jest benzyna syntetyczna, której produkcja nie przewyższa 7 miljonów ton. Informacje dotyczące ilości benzyny syntetycznej nie są ścisłe, ponieważ bardzo trudno jest wydostać je, wiadomo jest jednak, że produkcja z końcem 41 roku wynosiła 6 i pół miljona ton.

Należy jednak przypomnieć, że fabryki syntetycznej benzyny były zbombardowane przez Aljantów w ciągu ubiegłego roku, tak, że Niemcy, przy maksymalnym wysiłku mogłyby zaledwie utrzymać produkcję na poprzednim poziomie; wszystko raczej przemawia za przeciwnem przypuszczeniem, że zarówno wskutek bombardowań, jak również ze względów niżej podanych, produkcja w rzeczywistości obniżyła się.

Możliwości otrzymania benzyny syntetycznej są ograniczone z różnych względów — przedewszystkiem dlatego, że Niemcy pod rygorem zdezorganizowania całego życia gospodarczego kraju, nie mogą zużytkować ponad 10% węgla, którym dysponują — z tem że dla otrzymania jednego miljona tonn benzyny syntetycznej potrzeba ośmiu miljonów tonn węgla.

Otóż okazuje się, że węgiel obecnie bardziej niż kiedykolwiek, jest artykułem pierwszej potrzeby o olbrzymiem i stałem zastosowaniu, z którego naziści produkują obecnie cały szereg produktów pochodnych, począwszy od gumy syntetycznej, a skończywszy na różnych masach plastycznych, — tak koniecznych o ile nie niezbędnych we współczesnym przemyśle wojennym.

Transport kolejowy wyparł w całych Niemczech i w krajach okupowanych, transport samochodowy, co oznacza znowu wzrost zużycia węgla. Następnym czynnikiem, który zredukował możliwości produkcji benzyny syntetycznej, jest robotnik, ponieważ dla osiągnięcia miljona tonn tego produktu, potrzeba całego roku uciążliwej i wytężonej pracy osiemnastu tysięcy górników i ponadto 25 tysięcy robotników fabrycznych.

To jeszcze nie wszystko! Aby wyciągnąć benzynę syntetyczną procesem hydrogenicznym, jest niezbędna pokaźna ilość energji elektrycznej przez co powiększenie wspomnianego składnika wymaga dziesiątków tysięcy nowych robotników, kiedy jak wiadomo pod tym względem sytuacja Niemiec jest opłakana.

Z powyżej załączonych danych wynika, że produkcja benzyny, którą dysponują Niemcy, nie przekracza 15 miljonów tonn — przyczym możliwości powiększenia jej są ogromnie ograniczone.

Jakie jest mianowicie zużycie nafty przez Niemców?

W tej kwestji budująca jest poprostu jednomyślność specjalistów angielskich i szwedzkich, ponieważ jedni i drudzy utrzymują, że podczas ofensywy rosyjskiej naziści zużywali ponad półtora miljona tonn benzyny miesięcznie. Ale to zużycie powiększone przez ilość spaloną na licznych frontach wojennych przez Niemców i ich sojuszników, oraz życie ekonomiczno-fabryczne Niemiec i krajów okupowanych wyniesie z pewnością 2½ miljona tonn miesięcznie. Aby więc utrzymać ofensywę, Niemcy potrzebują 30 miljonów tonn benzyny rocznie, co wynosi dokładnie dwa razy tyle co posiadają. Prawdopodobnie dotychczas mogli zużytkować wielkie rezerwy pochodzące z czasów przedwojennych, albo z rabunków zwycięskiego marszu przez Europę — lub zbieranych przed katastrofalną kampanją rosyjską.

Rezerwy mają tę złą stronę, że tylko teoretycznie są niewyczerpalne, jako że Niemcy uciekając się do nich bez możliwości odnowienia ich, już je musieli zredukować według obliczeń specjalistów aljanckich, prawie o 6 miljonów tonn—przez co musi być bardzo poważne o ile nie katastrofalne położenie Niemiec.

Sztab niemiecki zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji po wyczerpaniu rezerw spowodowanych pierwszą kampanią rosyjską, wiedząc, że bez nafty Bliskiego Wschodu lub Kaukazu, Niemcy nie będą mogły kontynuować ofensywy.

Posunięcia wojskowe Niemiec w ubiegłym roku miały jako zasadniczy cel strategiczny, zdobycie źródeł naftowych, bądź przez awanturę kaukaską Hitlera, jakoteż przez ofensywę Rommla w północnej Afryce w kierunku Wschodu. Od tych dwuch ostatnich posunięć ofensywy niemieckiej zależała cała perspektywa zwycięstwa nad narodami aljanckimi.

Jest szczególnie ciekawe, jak podczas tych obu kampanji, specjalnie podczas kontrofensywy Aljantów, można było zaobserwować niezawodne symptomy, że Niemcy i ich wspólnicy dążyli przedewszystkiem do nafty. Rommel w swoim "blitz-odwrocie" zostawił tysiące armat i tanków w doskonałym stanie ale z rezerwuarami zupełnie pustymi. Pomiędzy oficerami niemieckimi, ktorzy poddali się Rosjanom, były setki pilotów niemieckich, walczących jako oficerowie piechoty, ponieważ ich samoloty były nieczynne przez brak benzyny. Między trofeami wojennemi rosyjskiemi znajdują się wielkie ilości nietkniętych tanków i, co bardzo ciekawe wielka ilość samolotów niemieckich w doskonałym stanie, zajętych na lotniskach, pozostawionych tam z powodu braku paliwa. Bardzo trudno jest wytłumaczyć brak reakcji Niemców na intensywne bombardowanie ośrodków przemysłowych przez Aljantów, nie odnosząc się do braku nafty. Po tych dwuch bezpłodnych usiłowaniach zawładnięcia źródłami naftowemi, które wywołały zupełny chaos w różnych resortach niemieckich, Hitler znalazł się wobec zupełnie odmiennych problemów strategicznych. Sytuacja naftowa tłumaczy nowy rodzaj strategji niemieckiej. Hitler nie może już sobie pozwolić na luksus dawnej ofensywy za każdą cenę. Obecnie jego jedyną możliwą strategją jest obrona — i to obrona bardzo elastyczna, jak to się widzi ostatnio. Pozostaje mu tylko wojna bez rozrzutności, bez luksusu, na froncie drastycznie zmniejszonym, bardzo oszczędna pod każdym względem, a specjalnie pod względem nafty.

15 miljonów tonn nafty, które Niemcy i kraje zajęte produkują, muszą wystarczyć do wojny Hitlerowi, a to jest nie wiele, ponieważ rezerwy są na wyczerpaniu a zdobycie nafty na Kaukazie i w Iraku stało się obecnie dla Niemców marzeniem.

Naturalnie Niemcy mogą jeszcze próbować ofensywy lokalnej, ograniczonej — dla wzmocnienia pozycji obronnej Wehrmacht'u. Broniąc Charkowa, Hitler bronił Poesti — centru naftowego rumuńskiego — bardziej niż kiedykolwiek żywotnego dla Niemców. Niemcy doznają prawdziwej klęski, ponieważ nie mogą dzisiaj utracić 5 miljonów tonn nafty, tak żywotnej dla wojny i która zdaje się płynąć jak prawdziwa krew w arterjach zwycięstwa.

POLSKI OFICER W BRYTYJSKIM MUNDURZE

ROZMOWA Z PRZYBYSZEM Z KRAJU LUDOŻERCÓW

Dzień był upalny i duszny, typowy letni dzień londyński. Słońce topiło asfalty ulic. najmniejszy powiew nie przynosił ochłody. W górze nad miastem, drzemały sfatygowane ciepłem balony zaporowe. Nawet cień, kryjący się we wnękach domów, był suchy, gorący i dziwnie spracowany.

Z za zakrętu pustej w popołudniowych godzinach ulicy, wyszedł wysoki, szczupły oficer brytyjski z tradycyjną już trzciną pod pachą. Gdy mijaliśmy się, niespodziewanie usłyszałem wypowiedziane najczystszą polszczyzną:

— Dzień dobry panu.

Patrzyłem zdumiony na złote gwiazdki naramienników, na mundur, na pas, na trzcinkę pod pachą i na inne szczegóły ubioru. Wszystko było brytyjskie. Ale oczy siwe, głęboko osadzone i śmiejące się do mnie — były mazurskie. No i język. Polszczyzna najczystsza bez żadnych naleciałości.

— Nie poznaje mnie pan?

W tym samym momencie przypomniałem sobie wszystko. Obóz w Rumunji, beznadziejność czekania na wydostanie się stamtąd, trudy, starania, wreszcie szczęśliwy, jak nieraz bywa, zbieg okoliczności i wymarzona podróż do Francji, gdzie odbudowywały się właśnie Polskie Siły Zbrojne.

Potem zniknął mi gdzieś z oczu w zawierusze francuskiej i teraz dopiero odnalazłem go, w brytyjskim mundurze.

Rozmowa potoczyła się wartko. Mój znajomy przyjechał do Londynu na krótki urlop, poczem ma wracać do Afryki na dalszą służbę. Należy do grupy tych polskich oficerów, którzy na czas wojny otrzymali przydział w angielskiej armji kolonjalnej w Afryce.

— Koledzy moi — ciągnął dalej oficer pełnią różne funkcje w następujących kolonjach: Nigeria, Sierra Leone, Gambja i Gold Coast. Warunki pracy dość trudne, przedewszystkiem z powodu tropikalnego klimatu, do którego Europejczycy tylko z wielką trudnością mogą się jakoś przyzwyczaić. Najcięższy jest okres od maja do końca listopada, kiedy upały są wprost potworne. Nie pomaga kąpiel brana kilka razy dziennie ani zmienianie ubrań i bielizny. Człowiek jest właściwie ciągle spocony. Noce bywają trochę "chłodniejsze" ale i wtedy trudno nieraz oddychać. To też odporność organizmu u Europejczyka słabnie a malarja jest naszym wrogiem bodaj najgorszym.

— Jak ułożyły się stosunki z czarnymi żołnierzami — zapytuję zaciekawiony.

— Gdy przyjechałem do Afryki, zostałem dowódcą plutonu składającego się z żołnierzy należących do szczepu "Munchi," który jeszcze stosunkowo niedawno trudnił się ludożerstwem. Jednakże energiczne i przemyślane zarządzenia brytyjskie zupełnie wytępiły ludożerstwo w Afryce.

Kiedyś, podczas biwakowania wdałem się w rozmowę ze swoim czarnym sierżantem, który przyznał się, że pochodzi ze szczepu ludożerców. Dodał, że jako bardzo mały chłopak, z okazji jakiegoś święta jadł z rodziną mięso ludzkie. Ale zdarzyło się tylko raz jeden i to bardzo dawno.

Obecnie służy już w wojsku od 16 lat. Bardzo się wstydzi i oburza, gdy ktoś wspomina o ludożercach...

Najciekawsze jednak, jak wyznał mi ów sierżant pod wielkim sekretem, że ludożercy naogół brzydzili się białem mięsem i tylko czarne uważali za przysmak.

Swoją drogą — ciągnął dalej mój znajomy — nowicjusz zawsze musi zapłacić "frycowe". Gdy wychodziłem ze swym oddziałem na dwudziesto-czterogodzinne ćwiczenia, mój dowódca z najpoważniejszą miną powiedział mi: "Obawiam się, że pluton wróci bez ciebie. Widziałem, jak na twój widok żołnierze oblizywali się i mlaskali wargami. Musisz być bardzo w ich typie."

Przyznam, że zrobiło mi się, jak na pierwszy raz trochę niesowojo, ale wyczułem odrazu, że to "joke" i opanowałem się natychmiast. Oczywiście był to kawał, na który usiłowano nabrać nowicjusza i napędzić mu trochę strachu.

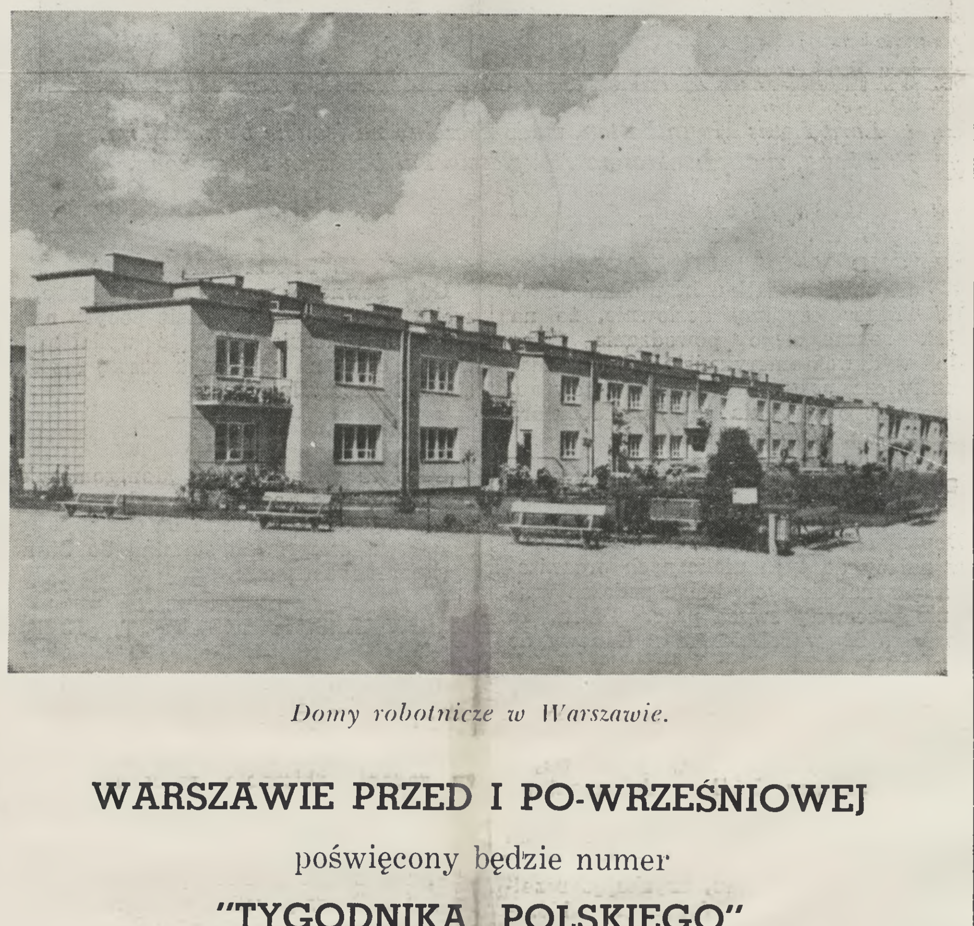
Byłem też kiedyś z wizytą u murzyńskiego króla, z którym rozmawiałem przez tłumacza francuskiego. Gdy powiedziałem mu w pewnym momencie, że jestem Polakiem, król wstał, podszedł do wielkiej mapy Europy, wskazał zupełnie poprawnie na miejsce, gdzie znajduje się Polska poczem powiedział: "To na was pierwszych Hitler napadł i zabrał wam kraj." Przyznam, że erudycja egzotycznego władcy bardzo mile mnie zdziwiła.

Król był zresztą, jak się to u nas przed wojną w Warszawie mówiło, "oblatany po świecie." Był w Londynie podczas uroczystości koronacyjnych Króla Jerzego VI-ego a syn i córka studjują obecnie w Anglji. Córka jest na kursie pielęgniarek, a syn na medycynie.

— Jak się powodzi naszym oficerom w Afryce?

— Naogół zupełnie dobrze. Zdołali sobie wyrobić szacunek i przyjaźń swych brytyjskich kolegów, a praca nasza cieszy się dobrą reputacją. Pozatem stosunki z czarnymi układają się jaknajlepiej.

Trochę długo trwa ta przypadkowa rozmowa z egzotycznym rodakiem, trzeba ją kończyć. A więc, sakramentalnie "do widzenia za rok w Polsce" i wysoka, szczupły sylwetka Polaka w brytyjskim mundurze znika w perspektywie ulicy.



Domy robotnicze w Warszawie.

MARTA WAŃKOWICZÓWNA

W HAVERFORD COLLEGE

Jerzemu Łużycowi, z wdzięcznością.

Do jednej z niewzruszonych tradycji wszystkich szkół w jakich mi kiedykolwiek usiłowano wpajać mądrość (a byłoż tych szkół, a było!...) należało podśmiewanie się zwykle "na życzliwo", z usmarowanych białą kredą grzbietów profesorskich. Było to tak uświęconym czysto profesorskim obyczajem, że doznałam wyraźnego wstrząsu, kiedy, skończywszy wypisywać na tablicy odmianę czasownika "mieć", odwróciłam się ku klasie, i zauważyłam białe łaty z kredy na moim prawym łokciu. Spojrzałam ukradkiem i podejrzliwie na lewy łokieć. Też był "okredziony." Zbierając resztki mojej godności profesorskiej otrzepałam żakiet i, umocniona na duchu, odmieniłam na głos: "Ja mam, ty masz, on, ona, ono ma..." kiedy Peggy Ann (a może była to Laurama, bo już w zamieszaniu nie pamiętam) powiedziała z nieśmiałym uśmiechem:

— You have it on your back, too...

Wtedy zrozumiałam, że mimo wszystkiego co na ten temat kiedykolwiek myślałam czy mówiłam, stałam się istotnie cząstką Ciała Pedagogicznego w Haverford College i że działa się oto rewolucja, która mnie wtrąciła w stan profesorski.

Była to zresztą jedna z pomniejszych rewolucji na campus'ie Haverford. Ale od niej, jak od śmierci wierzchówki Pani Markizy w piosence francuskiej, dochodziło się do istotnych przewrotów. Powiedzieć o tem mógł każdy student Haverford College dając do zrozumienia grzecznie ale dobitnie, że świat się przewraca do góry nogami i że "kto wie czego nie wymyślą."

Przede wszystkiem — "the army took over". Po campusie kręciły się setki mundurów, słychać było dudnienie ciężarówek, komendy, gwizdki, pobudki i odgłosy ćwiczeń: "Hep, two, three, four... hep, two, three four..." Ale tak się działo we wszystkich męskich kolegjach, tak się działo w całej Ameryce, i to oczywiście było pewną pociechą nawet dla najbardziej pacyfistycznie nastrojonych Kwakrów

Trudniej natomiast było znieść najazd kobiet na tereny zazdrośnie strzeżone i wyłącznie męskie.

Zaczęła się ta inwazja z bardzo szlachetnych pobudek, chociaż nikt ze studentów nie podejrzewał wtedy kryjącej się w nich groźby. Haverford College, świetne kwakierskie kolegjum koło Filadelfji postanowiło zorganizować **post war reconstruction course**, żeby wykształcić pracowników społecznych, przygotowujących się do wyjazdu do Europy z misjami amerykańskiemi i pragnących pomóc w odbudowie krajów znękanych wojną i okupacją niemiecką.

Pod tym "pretekstem" dwadzieścia dziewcząt "wdarło się" do Haverford College. Dobrane były starannie. Większość z nich przyszła z najlepszych szkół Ameryki: Wellesley (którego wychowanicą jest Madame Chiang), Vassar, Smith, Swarthmore. Wszystkie miały już Bachelor's Degree, stopień kolegjalny. Pochodziły z różnych klas społecznych (t. zn. jeśli ilość posiadanych pieniędzy dzieli ludzi na "klasy"), ale miały wspólną ciekawość świata, zainteresowanie pracą społeczną, pewne doświadczenie organizacyjne i sprężystą energję. Pochodziły z różnych sekt religijnych (Comfort była bodajże jedyną Kwakierką w grupie, a niektóre z nich były bezwyznaniowe), ale miały wspólne mocne poczucie życzliwości dla świata naogół, a zwłaszcza dla tych, którzy się znaleźli zrządzeniem losu "na dole".

Zapędzono je z miejsca do roboty. Kurs obejmuje następujące przedmioty: Special Area Study (Germany, Russia, Poland and Czechoslovakia, Scandinavia and the Baltic countries); Philosophy and Practice of Reconstruction, Social Case Work, International Relief Administration, Bookkeeping and Accounting, Mental Hygiene of Relief Worker, Nutrition, Village Hygiene, Work Camp Administration, Post War World. Grupa dziewcząt postanowiła uczyć się języka polskiego.

W ten sposób właśnie dorobiłam się smug białej kredy na łokciach mego granatowego kostjumu. Uczę polskiego. W klasie mam osiem dziewcząt i rudowłosego Larry-ego, doktora filozofji, który powitał mnie recytacją po polsku czegoś niebywałego, czego nauczył się w Jastrzębiej Górze dziesięć lat tęmu, co miało przedstawiać ponoć śpiew słowików, a z czego oszołomiona, zapamiętałam tylko refren: "Podrap mnie! Podrap mnie!"...

Jeśli, o czytelnicy, nie uczyliście nigdy polskiego w krajach anglosaskich i jeśli chcielibyście na przyszłość uniknąć niespodzianek, przyjmijcie jedną radę, owoc pierwszego tygodnia mego nauczania: oprzyjcie się pokusie obrania czasownika "być" jako jednego z pierwszych podstawowych słów, które uczniowie powinni zapamiętać. Możecie używać wszystkich form oprócz bezokolicznika, który jest niebezpieczny. Dowiedziałam się o tem

Na drugiej już lekcji, zaraz po alfabe-
niemal tak niespodziewanie, jak o kredzie.
"A jak się stało, opowiem..."
cie, zadecydowałam, że pierwszym czasownikiem, z którym się moi uczniowie powinni zaznajomić jest "być".

— **Present Tense of the verb "to be"** — zapowiedziałam i wykaligrafowałam odmianę na tablicy. Przeczytałam na głos i kazałam im po kolei powtórzyć po polsku różne formy czasownika. "Ten sobie mówił a ten sobie mówił" i istotnie było "pełno radości i krzyku", aż przyszło do bezokolicznika. Wtedy zapadła nagła, zażenowana cisza. Zdziwiona odwróciłam się od tablicy, na której wskazywałam kredą, jakie słowo mają przeczytać na głos Oficjalnie to była kolej na Charlotte. Może dlatego wydawała się zażenowana więcej niż inne.

"**B - y - c with a coma** — powiedziała.— Boję się, że moja wymowa nie byłaby poprawna..."

Wtedy nagle zrozumiałam o co chodziło i postanowiłam przedewszystkiem nauczyć je różnicy między "i" i "y", między 'ć" i "cz". Ale, kiedy wracając do domu tego wieczora rozważałam całą sprawę od początku, odkryłam, że bogaty polski język nie da się obejść naokoło moim "podstępem". Bo przecież oprócz "być", mamy jeszcze "bić" i "bicz", a wszystko to brzmi "jednakowo". Jeśli więc już chcę oszczędzać wrażliwe uczucia moich uczniów, powinnabym przeprowadzić radykalną reformę języka.. Or have you any other suggestions?

Na czwartą lekcję przyniosłam broszurkę Jerzego Łużyca "Te Pierwsze Walki". żeby sprawdzić jak moje uczenice wprowadzą w czyn wykład N. 1. o wymowie polskich liter i o fonetyczności polskich słów.

Przyniosłam "Te Pierwsze Walki" poprostu dlatego, że to było jedyne, co miałam po polsku w dostatecznej ilości egzemplarzy. Cienka broszurka została wydana w Bukareszcie w styczniu 1940, nakładem Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom, i była jednem z pierwszych pisanych ech wojny wrześniowej w Polsce. Wyjeżdżając z Europy wzięłam do walizki kilkadziesiąt egzemplarzy "Pierwszych Walk" i drugiej broszury tegoż autora o dziejach XI-ej Dywizji generała Prugara.

Przyniosłam "Te Pierwsze Walki" do klasy w Haverford przypadkiem, ale nie mogłam się oprzeć dreszczowi wzruszenia, gdy przypomniałam kiedy i gdzie pierwszy raz miałam te dwie książeczki w ręku.

W końcu lutego, 1940, "Te Pierwsze Walki" i "Z generałem Sosnkowskim" dotarły do Warszawy, spragnionej słowa polskiego, któreby się nie wstydziło kampanji wrześniowej, ale w niej znalazło bohaterstwo i wartość istotnego wkładu wojennego, a nie tylko całopalenia; do Warszawy, w której jedynemi "nowemi wydawnictwami" były tygodniowe hektografowane biuletyny radjowe i kąśliwe napisy nalepiane na obwieszczeniach niemieckich; do Warszawy, której, chodzącej w kręgu tych samych obmierzłych nieszczęsnych spraw: wysiedleńców z poznańskiego, koniny i klusek, braku węgla, nowych restrykcji — tak bardzo trzeba było kilku słów choćby, któreby zmusiły do płaczu przez pięć minut i do dumy przez miesiące. Dlatego właśnie może te dwie maleńkie broszury były tak gorąco przyjęte. W ciągu dwóch czy trzech tygodni wydrukowano je w dwóch tysiącach egzemplarzy a potem bodajże wyszły jeszcze następne wydania.

"Dedykuję żołnierzom poległym,

Dedykuję tym, którzy walczyli, których głosu nie słychać z za drutów obozów jenieckich,

Dedykuję tym, którzy będą walczyć, a których zalewa potwarz wrogów i dusi ckliwe milczenie przyjaciół."

Nie wiem, może to właśnie za te trzy słowa: "którzy będą walczyć" — ludzie byli tak bardzo wdzięczni. Tak było ze mną w każdym razie, boć tylko cztery miesiące ułynęły od zbierania broni rozrzuconej po polach, broni, która przestała walczyć, i gorzka była tego pamięć.

— Mary Esther — powiedziałam — Zacznij proszę czytać na głos.

— **"To było w Domu Polskim w Bukareszcie, kiedy napłynęła pierwsza fala."**

— Peggy Ann, will you continue, please?

"Młody..." Jak to ty to wymawiasz, Marta? To słowo, zaczynające się na "m"?

— Mężczyzna.

— Thank you. **"Młody mężczyzna poprosił o koszulę. Chciał odejść, ale się zachwiał. Podtrzymano go i usadzono na ławie."**

— Charlotte, Twoja kolej.

— **"Okazało się, że jest oficerem, który ma przestrzeloną pierś, rękę i kontuzję głowy. Nazywa się Lewandowicz."**

— Anette...

— **"Słuchając go, myślałem o was, którzy to czytać będziecie. O was, o nas, zgiętych w pół, o naszych myślach, o naszych uczuciach."**

KOBIETY W ARMJACH ALJANCKICH



EWA CURIE
"Francja Walcząca"



JADWIGA PIŁSUDSKA
Polski pilot transportowy

OPINJE I ZDARZENIA

LIST WITTLINA

Pomieszczona przez nas na czele niniejszego numeru "Tygodnika" piękna wypowiedź Józefa Wittlina o literaturze polskiej, skierowana została do zjazdu pisarzy aljanckich, odbytego w tych dniach w Los Angeles. Józef Wittlin zaproszony na ten zjazd jako przedstawiciel literatury polskiej nie mógł nań się udać z powodu choroby. List jego odczytany na zjeździe wywarł głębokie wrażenie.

NOWE POEZJE

Poezja polska na emigracji licząca już sporo utworów, które, jak można sądzić z ich ducha, przetrwają czas wojny i świadczyć będą o żywotności polskiego pióra nawet w najcięższych chwilach, powiększyła ostatnio swój dobytek o kilka nowych i z pewnością pięknych zbiorów. Władysław Broniewski, kapitan W. P., przebywający na Bliskim Wschodzie, wydał w Jerozolimie tom wierszy z lat 1939-1943 pod tytułem brzmiącym jak komenda wojskowa: "Bagnet na broń". Stanisław Baliński, autor rozchwytanej w kilku wydaniach "Wielkiej podróży", wystąpił z nowym zbiorem: "Tamten brzeg nocy", wydanym w Londynie. Tam też ukazał się trzeci już w ciągu tej wojny cykl świetnej poetki, Marji Pawlikowskiej, nazwany "Niezapominajki bagienne".

NIEMIECKI WOJOWNIK

W "The American Mercury" K. S. Padover daje taką opinję o armji niemieckiej:

"Szeroko rozpowszechnione mniemanie, że Niemcy są fanatycznymi wojownikami, walczącymi do ostatniego człowieka i ostatniej kuli — jest mitem. Prawdą jest wręcz coś innego. Nie będąc bynajmniej fanatycznymi wojownikami, Niemcy są zawodowymi żołnierzami, co zgoła zmienia postać rzeczy. Zawodowcy nie walczą aby umrzeć — tak jak Japończycy i inni fanatyczni amatorzy — lecz, by zwyciężyć! Walczą z zimną kalkulacją ważąc wszystkie szanse zwycięstwa. Gdy jednak obliczenia ich wykażą, że nie istnieje możliwość zwycięstwa, ci trzeźwi zawodowcy przestaną trwonić amunicję. Niemcy od wieków są wojownikami, zawód żołnierski jest głęboko zakorzeniony w charakterze teutońskim. Dwa tysiące lat temu Cezar zauważył, że "całe ich życie wypełnione jest polowaniem i wojną". Tacyt powiedział o nich: "Nienawidzą pokoju. Oni nawet uważają za oznakę słabości, jeżeli ktoś zdobywa potem co może być zdobyte krwią". Wieki nie wiele zmieniły ich usposobienia. W roku 1762 Horace Walpole powiedział o Niemcach, że kochają walkę dla samej walki. O jedno pokolenie później, Mirabeau, po wizycie w Niemczech, zaobserwował niezmiernie trafnie że "wojna jest narodowym przemysłem Prus".

Tak jest jeszcze dzisiaj. Wojna jest normalnem zatrudnieniem narodu niemieckiego, opartem na kalkulacji ryzyka, zysku i strat. W ciągu osiemdziesięciu lat Niemcy walczyli w pięciu wojnach, z których trzy przyniosły zyski, jedna straty, a jedna jest obecnie jeszcze w toku. Wszystkie były wywołane przez Niemców z dokładną, handlową kalkulacją. Ani jedna z tych wojen nie była ideową. Wszystkie miały na celu łatwe zyski — ekspansję terytorjalną, grabież, odwet. Na ogół wojny te były dla Niemiec interesem zyskownym, mimo chwilowych porażek. Lecz wszystkie wielkie przedsięwzięcia handlowe zawsze są narażone na niebezpieczeństwo strat, a wojna pod tym względem nie jest wyjątkiem.

Strategicy niemieccy niewątpliwie wypracowali dokładny rachunek zysków i strat. Oni wiedzą jakie są możliwości zysków. Wiedzą również kiedy zatrzymać się.

Dlatego utrzymuję, że wojna zakończy się szybko i niespodzianie. Niemcy będą walczyli dopóki będą wierzyli, że mają pół na pół szanse zwycięstwa, lecz gdy uprzytomnią sobie, że sytuacja jest beznadziejna, zrobią dokładnie to samo co zrobili w roku 1918 — zlikwidują przedsiębiorstwo wojny jako złą inwestycję. I najspokojniej zaczną przygotowywać plany do następnego przedsięwzięcia wojennego."

WOJNA JESZCZE NIE WYGRANA

Ostatnie wydarzenia na obszarach walki, zarówno w powietrzu, jak i na ziemi i morzu, świadczą, że rychłe zakończenie wojny należy zaliczyć do tak zwanych pobożnych życzeń (wishfull thinking). Zanim Niemcy zrozumieją, że sytuacja ich jest beznadziejna, trzeba będzie naprzód zwalczyć wszystkie najfantastyczniejsze przeszkody, które zdoła wymyśleć djaboliczna wynalazczość niemiecka.

Ostatni nalot na Berlin, który przyniósł lotnictwu angielskiemu straty większe niż przeciętne, ujawnił, że Niemcy mają teraz nową broń w postaci torpedy-szybowca, wypuszczonego przez samolot i kierowanego przez pilota na odległość falami elektromagnetycznemi.

Równocześnie wielką niespodzianką był atak niemieckich łodzi podwodnych na konwój w pobliżu brzegów kanadyjskich. — Okazało się, że Niemcy wymyślili nowy typ torpedy i nowe jej taktyczne zastosowanie. Wyrzucona przez łódź podwodną torpeda jest kierowana elektromagnetycznie w kierunku śruby okrętowej. Gdy torpeda znajduje się w obrębie śruby, jest doprowadzona do wybuchu akustycznie na skutek wibracji tejże śruby okrętowej. Bezradny, pozbawiony ruchu statek jest potem łatwym łupem innych towarzyszących łodzi podwodnych. Pozatem znaleźli Niemcy odpowiedź na ataki samolotów. Wśród sfory łodzi podwodnych, niektóre silnie uzbrojone walczą wyłącznie z napastującemi je bombowcami, a inne pod ich ochroną torpedują statki. Ta nowa torpeda i nowa taktyka wyrządziły konwojowi wielkie straty.

Pozatem radjo moskiewskie donosi, że na froncie rosyjskim Niemcy zastosowali zupełnie nową broń przeciwtankową, coś w rodzaju torpedy lądowej. Jest to mały tank wielkości przyczepki do motocyklu, napełniony masą eksplodującą wagi 150 funtów. W tyle tanku znajduje się szpula z nawiniętym kablem. Wypuszczony tank-torpeda poruszając się rozwija kabel, którego koniec znajduje się w niemieckim schronie. Za jego pomocą tank jest kierowany w pożądanym kierunku i w właściwym momencie doprowadzony do wybuchu. Rosyjscy eksperci twierdzą, że jedynym sposobem przeciw tej nowej broni jest przecięcie kabla, zanim tank-torpeda zbliży się do celu.

Tych wynalazków nie należy jednak przeceniać. Narobią one wiele hałasu, a w rezultacie los ich będzie ten sam co słynnej miny magnetycznej z roku 1940-go. I na te djaboliczne pomysły znajdzie się rychło odpowiedź. Nic Niemców nie uratuje przed neuchronną zagładą.

GOEBBELS SKACZE Z RADOŚCI

Niemal co tydzień Niemcy otrzymują teraz hiobowe wieści o klęskach i odwrotach "niezwyciężonej" armji niemieckiej. Ale Goebbels przeszedł już samego siebie w tłomaczeniu narodowi niemieckiemu tych wydarzeń. Nie usprawiedliwia i nie tuszuje, lecz poprostu — skacze z radości. Według niego katastrofalny odwrót w Rosji jest genjalnem trykiem niemieckiego dowództwa, dzięki któremu udało się wymanewrować armję rosyjską w obszar Dniepru. I zaraz ze smutkiem dodał, że prawdopodobnie będzie bardzo trudno zwabić Rosjan na zachodni brzeg Dniepru. W ten zaiste pomysłowy sposób zabezpieczył się w razie, gdyby armja rosyjska przekroczyła tę rzekę. Byłby to znowu sukces niemiecki według Goebbelsa, udana próba "zwabienia Rosjan na zachodni brzeg Dniepru".

Również klęski we Włoszech przedstawiane są przez propagandę niemiecką jako sukcesy, polegające na tem, że przez zręczne cofanie się dowództwo niemieckie pokrzyżowało plany Aljantów, wykazując większą chytrość niż dowództwa angielsko-amerykańskie.

Trzecim powodem do radości dla Goebbelsa jest fakt, że w tym roku armja niemiecka została doskonale zaopatrzona na okres zimowy w Rosji. "Naczelne dowództwo niemieckie już więcej nie popełni grzechu zaniedbań tak jak podczas pierwszej zimowej kampanji w Rosji" — przysięgał Goebbels.

Jak widzimy — Niemcy mają wiele powodów do radości...

BIEDNI, NIEWINNI NIEMCY

Intelligence Service pracujący w Niemczech stwierdził, że niema tam śladu walki z reżimem nazistowskim. Naród niemiecki solidaryzował się z mordami, grabieżą i z metodami wojny totalnej, jaką Hitler narzucił światu.

Potwierdziła to zresztą wystawa, urządzona w Londynie przez przedstawicieli "Wolnych Niemiec". Było tam wszystko, od wykresów, obrazujących wzrost partji lewicowych w przedhitlerowskim Reichu do eksponatów ruchu wolnościowego wśród emigracji niemieckiej, ale walki podziemnej w samych Niemczech ani śladu. Brak było nprz. wykresów przypominających, że Hitler nie doszedł do władzy przez zamach stanu, lecz w drodze wyborów, że głosowały na niego masy niemieckie, nie wyłączając dawnych zwolenników socjalizmu, a nawet komunizmu. Prasa angielska zareagowała na tę wystawę mniejwięcej w sensie: dlaczego jest tak źle skoro jest tak dobrze.

W SPRAWIE GROBÓW POD SMOLEŃSKIEM

Dwunastu Polaków kawalerów orderu Virtuti Militari, przebywających w Ziemi Świętej, złożyło na ręce ks. Barlassini, patrjarchy Jerozolimy i Transjordanji, apel do Papieża o zainicjowanie wysłania na miejsce zbrodni pod Smoleńskiem komisji z przedstawicieli wszystkich wyznań. Względy formalne nie pozwoliły Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi na zbadanie tej sprawy, ale względy te nie mogą obowiązywać Stolicy Apostolskiej: "Pragnęlibyśmy, by fakt wyjazdu takiej komisji na miejsce zbrodni pod Smoleńskiem był nie tylko hołdem wszystkich wyznań dla niewinnych ofiar mordu, ale zaświadczył przed całym światem, że istnieje jeszcze jakieś poczucie miary w ogromie zbrodni, popełnianych systematycznie od prawie czterech lat na wiernym katolickim narodzie polskim".

NIEDOPUSZCZALNE METODY

Wszczęta w Londynie kampanja prasowa przeciw Zygmuntowi Nowakowskiemu, która nigdy nie będzie należała do chlubnych kart naszego dziennikarstwa a u wszystkich niezacietrzewionych ludzi wywołać musi niesmak i jak najdalej idące zastrzeżenia, znalazła swój epilog w uchwale Związku Dziennikarzy Rzeczypospolitej (sekcja w Londynie). Uchwała ta brzmi jak następuje:

Zważywszy, że w swej kampanji przeciwko redaktorowi Zygmuntowi Nowakowskiemu, "Dziennik Polski" powołuje się na cytowanie przez prasę niemiecką artykułów red. Nowakowskiego, oraz że "Dziennik Polski" usiłuje z tego tendencyjnego cytowania ukuć zarzut mierzący w patrjotyzm i honor kolegi Nowakowskiego, zarząd Związku Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej (sekcja w Londynie) na zebraniu dn. 2 września 1943 r. w nieobecności kolegi Nowakowskiego — jednogłośnie potępił takie metody polemiczne jako niedopuszczalne.

POZORNA SPRZECZNOŚĆ

Mimo że Churchill ostrzegał niedawno parlament angielski, że wojna przeciągnąć się może do roku 1945, Lord Woolton przyrzekł, że Anglicy rychło "zasmakują owoców zwycięstwa." Czy istnieje sprzeczność między temi dwoma oświadczeniami? Nie. Przyrzeczenie Lorda Wooltona należy rozumieć dosłownie, gdyż z Sycylji zaczęto już transportować do Anglji pomarańcze, cytryny i inne owoce, przysmaki od lat niewidziane na wyspie Albjonu.

KIEDY SKOŃCZY SIĘ WOJNA?

Generał Montgomery, zapytany przez grupę reporterów kiedy zakończy się wojna odpowiedział: "Spodziewałem się, że wy korespondenci udzielicie mi w tej sprawie informacji."

NIC WAŻNEGO SIĘ NIE STAŁO

Cała prasa amerykańska zauważyła nie bez zdziwienia, że zdobyciu Neapolu, a więc wydarzeniu o wielkiem znaczeniu militarnem, pisma sowieckie poświęciły zaledwie cztery wiersze, umieszczone na tylnych stronicach, wśród komunikatów mniejszej wagi.

SYLOGIZM NIEMIECKI

Minister niemiecki Hans Frank powiedział:

"Hitler jest samotny. Bóg jest również samotny. Hitler jest jak Bóg". Za pomocą tej samej sylogistyki można sformułować następujące przesłanki i wniosek:

Hitler jest samotny. Zbrodniarz w celi więziennej jest również samotny. Hitler jest zbrodniarzem.

Obie figury logiczne są prawidłowe formalnie, natomiast druga jest prawdziwa, gdyż zestawia pojęcia odpowiadające rzeczywistości.

"NEW EUROPE"

Bardzo ciekawe i żywe są dwa ostatnie numery miesięcznika "New Europe", z którego wydawnictwem, jak wiadomo, współdziała Polskie Centrum Informacyjne.

Numer za lipiec i sierpień, poświęcony Niemcom, zawiera artykuły m. innemi prof.o Foerstera, Czernina, Hagena, Segera, Bundschuh'a — świadczące, jak bardzo problem powojennych Niemiec przestał być akademicki, jak każda w tej sprawie wypowiedź jest już polityczna, dyplomatyczna, aktualna. W doskonałym numerze wrześniowym o Francji i Włoszech — mamy artykuły Sforzy i Sturdzo, a więc właściwych przywódców nowych Włoch, oba sensacyjne; w części francuskiej — naprawdę twórcze są artykuły Gregoire'a o Francuskiej i Belgijskiej Afryce i Muhlsteina o Francji i Centralnej Europie.

Redaktorem "New Europe" jest obecnie Dr. Feliks Gross.



Lord Louis Mountbatten, wódz naczelny na froncie burmeńskim, z żoną, znanym aktorem Douglasem Fairbanksem i jego żoną.

"QUO VADIS" POWRACA

W ostatnim dodatku literackim "New York Times" czytamy dosłownie, że na skutek sensacyjnego powodzenia "The Robe" wydawca amerykański "Quo Vadis" Sienkiewicza postanowił dokonać nowego, ilustrowanego wydania tej książki, która ukaże się dn. 13 października.

DEPARTAMENT EKONOMICZNY LIGI NARODÓW

Departament Ekonomiczny Ligi Narodów należy do tych nielicznych organizacji międzynarodowych, które podczas wojny nie przerwały swych prac. Biuro to przeniosło się w roku 1940 z Genewy do Princeton w stanie New Jersey i korzystając z gościnności tamtejszego Universytetu prowadzi nadal działalność zakreśloną na dość szeroką skalę.

Wydawnictwa biura były przed wojną bardzo poważnem źródłem dokumentacji ekonomicznej we wszystkich niemal dziedzinach; w obecnych trudnych warunkach kierownictwo biura dąży do utrzymania tego wysokiego poziomu, uzyskując rezultaty godne uznania. Wydawane od szeregu lat perjodyczne publikacje biura ukazują się nadal jak np. Międzynarodowy Biuletyn Statystyczny, oraz roczne wydawnictwa " World Economic Survey" i "Money and Banking" doprowadzone do okresu 1941-2.

Pozatem biuro wydało ostatnio szereg monografji omawiających w krytyczny sposób doświadczenia polityki gospodarczej z okresu między dwoma wojnami i wyciągających z tych doświadczeń wnioski dla międzynarodowej polityki gospodarczej w przyszłości. Prace te można podzielić na trzy grupy:

Do **pierwszej** zaliczyć można prace omawiające następstwa gospodarcze pierwszej wojny światowej, doświadczenia z okresu 1919 do 21 i ówczesne sposoby przejścia z gospodarki wojennej do "normalnej" działalności gospodarczej. Są to prace następujące:

Economic Fluctuations in the United States and the United Kingdom 1918-1922.

Relief Deliveries and Relief Loans, 1919-1923.

Europe's Overseas Needs 1919-1920 and how they were met.

Drugą grupę tworzą prace zawierające podstawowe dane cyfrowe z zakresu międzynarodowej wymiany towarowej w okresie między wojnami ("The Network of World Trade" i "Europe's Trade") oraz omówienie doświadczeń — niestety przeważnie negatywnych — tego okresu. Dokonano tego w trzech książkach, które omawiają następujące zagadnienia:

rozbieżności między zaleceniami jakie były podejmowane na licznych konferencjach międzynarodowych, a praktyką poszczególnych państw,

powody i rodzaje różnych ilościowych ograniczeń wprowadzonych przez poszczególne państwa do obrotów towarowych,

sposoby uregulowania stosunków handlowych między grupami krajów o odrębnych ustrojach gospodarczych, a mianowicie z jednej strony krajami utrzymującemi swobodę rynków i nieskrępowany mechanizm cen a z drugiej strony krajami o daleko posuniętej gospodarce planowej.

("Commercial Policy in the International Proposals and National Policies," "Quantative Trade Controls: Their Causes and Nature," "Trade Relations between Free-Market and Controlled Economies"

W opracowaniu jest dalsze dzieło, które ma się ukazać za parę tygodni i będzie poświęcone omówieniu podobnych zagadnień z zakresu polityki pieniężnej i dewizowej poszczególnych państw.

Do **ostatniej** wreszcie grupy należy wydawnictwo pod tytułem "The Transition from War to Peace Economy," zawierające ważne wskazania na przyszłość. Praca ta przestrzega przed zbytnim pośpiechem w likwidowaniu zarządzeń kontrolujących podczas wojny poszczególne działy życia gospodarczego. Utrzymanie ich będzie nietylko koniecznem w krajach, które ucierpiały bezpośrednio wskutek działań wojennych, ale również pożądanym w innych krajach jak np. w Ameryce. Tylko tą drogą bowiem można będzie zmniejszyć niebezpieczeństwo gwałtownych wahań konjunktury gospodarczej jakich byliśmy świadkami po pierwszej wojnie światowej. Na podkreślenie zasługuje również pogląd wyrażony w omawianej pracy, że kraje zniszczone przez wojnę mają prawo do pomocy materjalnej ("a claim for relief") i że niezaspokojenie tej potrzeby będzie musiało się odbić niekorzystnie na przyszłym rozwoju gospodarczym nawet najsilniejszych krajów.

TEŻ FILOZOFIA ŻYCIA

Gdy pewnego marynarza zapytano, co zrobił z pieniędzmi w czasie pobytu na lądzie, odpowiedział: "Część wydałem na wódkę, część na kobiety, a resztę roztrwoniłem lekkomyślnie."

FOGGIA

Zdobyte przez armję Montgomery'ego miasto włoskie Foggia jest rodzinnem miastem mayora New Yorku La Guardji. Jego rodzice wyemigrowali stamtąd do Stanów Zjednoczonych.

AMERYKAŃSKI INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

W lipcu r. b. powstał w New Yorku Amerykański Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historji Polskiej. Nowa ta placówka naukowa ma za zadanie zbieranie, przechowywanie i badanie dokumentów, dotyczących historji Polski od czasów powstaniowych 1863 r. do chwili obecnej, ze szczególnym uwzględnieniem spraw polskich podczas pierwszej wojny światowej, roli wychodźtwa polskiego w Ameryce, okresu niepodległości Polski i wreszcie czasów ostatnich. W tym celu Amerykański Instytut Józefa Piłsudskiego będzie zbierał dokumenty, tworząc archiwa historyczne, wydawał książki i publikacje naukowe, współpracował z pokrewnemi instytucjami amerykańskiemi i polskiemi, organizował wykłady i odczyty, udzielał stypendjów na studja nad historją Polski i t. d.

W ten sposób Amerykański Instytut będzie kontynuował prace warszawskiego Instytutu Józefa Piłsudskiego, poświęconego badaniu najnowszej historji Polski, obecnie zniszczonego przez Niemców.

Członkami Instytutu mogą być zarówno Amerykanie, jak i Polacy, przebywający tu czasowo.

Komitet Organizacyjny Instytutu przystąpił do prac nad uruchomieniem tej placówki. Na dyrektora Instytutu powołano b. ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego w Polsce, p. Wacława Jędrzejewskiego, członka zarządu Instytutu w Warszawie.

Adres Instytutu jest: Józef Piłsudski Institute of America for Research in the Modern History of Poland, 105 East 22 Street, Room 413. New York, 10, N. Y.

NIEZWYKŁA ŚMIERĆ

Znany lekarz amerykański Dr. Oliver Wendell Holmes, gdy ujrzał raz jak jeden z jego pacjentów podejrzanych o hipochondrję zaczytywał się w książce lekarskiej, studjując objawy tej choroby — krzyknął:

— Na miły Bóg! Niech pan odrzuci tę lekturę, bo kiedyś zginie pan od błędu drukarskiego!

METAMORFOZY

Pismo szwajcarskie "Sankt Galler Tageblatt" omawia programowy artykuł berlińskiej "Deutsche Allgemeine Zeitung" p. t. "Deutschland muss an den Sieg glauben" ("Niemcy muszą wierzyć w zwycięstwo") i dodaje:

"Naprzód pisało się w Niemczech "Zwyciężyliśmy"; potem "Zwyciężymy!"; potem znów: "Musimy zwyciężyć!" a teraz: "Musimy wierzyć w zwycięstwo!".

Jednem słowem propaganda à rebours.

TAKIE CZASY, MOJA PANI...

Dziennikarz z Minneapolis, Cedric Adams szukając służącej, zamieścił w "Sunday Tribune" duże ogłoszenie. W odpowiedzi na to ogłoszenie otrzymał 643 telefonicznych zgłoszeń: 26 od służących i 617 od pracodawców z prośbą o podanie ich adresów służącym, którychby dla tych czy innych powodów nie przyjął.

MANPOWER SHORTAGE

Na rogu Park Avenue i 48-ej ulicy pewną panią zaczepia listonosz, dźwigający torbę z listami:

— Przepaszam, czy pani nie wie, gdzie tu jest jaki urząd pocztowy?

Okazało się, że zbłądził. Przyjęto go dopiero wczoraj, a dziś już roznosi listy. Nowy Jork znał jedynie z filmów, gdyż przybył dwa dni temu z Texasu.

"CZCIJ OJCA I MATKĘ SWOJĄ..."

Do sklepu w Wakefield, Mass. zgłosił się do pracy siedmioletni chłopak. Na zapytanie kupca do czego mu są potrzebne pieniądze w tym wieku, malec odpowiedział, że chce swoją matkę wysłać do szkoły dla spawaczy.

FREEDOM OF PRESS

Prasa amerykańska z nieukrywanem zdziwieniem stwierdza, iż w Z S. S. R wychodzi wprawdzie zgórą 8,000 pism codziennych i perjodyków — w żadnym jednak z nich niema ani kroniki sądowej, ani strony humoru, ani feljetonu, ani "rubryki plotek" ("gossip column").

W PUSTYNI I W PUSZCZY

Stary murzyn przychodzi z kilkuletnim synem do czarodzieja wioskowego z prośbą o pomoc:

— Martwię się o chłopca, o Wielki Mistrzu! Boję się czy nie chory. Od kilku dni nie chce nikogo jeść.

VICTOR HUGO I OCEAN

Victor Hugo, jak wiadomo, już za życia otoczony był boską prawie czcią przez Francuzów i nosił się po olimpijsku, co oczywiście było też powodem licznych złośliwości i dawało na nerwy wielu pisarzom.

W jednym ze swych listów Beaudelaire tak pisze:

"Podobno Victor Hugo pokłócił się z Oceanem. Musiało zajść jedno z dwojga — albo Victor Hugo nie mógł skasować Oceanu, albo Ocean poprostu się nim znudził".

TAJEMNICZY SKRYPT

Na jednym z wyższych kursów wojennych w Washingtonie, młody major wygłosił godzinny wykład na temat wysoce zawiły, pełen cyfr i fachowych danych. Mówił płynnie z pamięci i tylko od czasu do czasu zaglądał do skryptu, który leżał przed nim. Po wykładzie wstał i wyszedł, nie biorąc z sobą notatek.

Zaciekawieni słuchacze podbiegli do stołu, chcąc przeglądnąć skrypt skomplikowanego wykładu. "Skrypt" okazał się kartką papieru, na której widniały tylko dwa wiersze:

Czytaj powoli!
Nie kręć się na krześle!

"NO VACANCY"

Zbliżające się wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych dostarczają tematu do dowcipów i anegdotek. Jeden z takich satyrycznych żartów przytacza "The Reader's Digest":

Dziecko (ssie z butelki): Aaa — aaa!
Przyjaciel — Ładny chłopiec.
Ojciec (z dumą) — Prawda?
Przyjaciel — Niech nam wyrośnie na Prezydenta Stanów Zjednoczonych.
Ojciec (zaniepokojony) — Dlaczego? A co z Rooseveltem?

RACINE I SZEKSPIR

René Benjamin opowiada w swej biografji Clemenceau o pewnej pięknej i patetycznej scenie, która się odbyła w posiadłości "Tygrysa" w Wandei. Clemenceau oprowadzając Benjamina po swym bezładnym i zapuszczonym, ale jakże głęboko dramatycznym parku, w pewnej chwili uderzył go w ramię i powiedział: "No i cóż? Jak się panu podoba mój ogród?"

Francuz-klasyk, zdziwiony, że Clemenceau nazywa te chwasty i burzany ogrodem, jakby się zawahał i wybełkotał:

"Jakto ogród?"

A na to Clemenceau, waląc go tym razem mocny w plecy i śmiejąc się szyderczo:

"O nieszczęsny Francuzie, który nigdy nie zrozumiesz Szekspira!"

SI NON E VERO E BEN TROVATO

Tysiące Norwegów ucieka z pod okupacji niemieckiej i ryzykując życie w niebezpiecznej przeprawie przez Północne Morze, małymi kutrami i motorówkami przybywa do brzegów Anglji.

Pewien dygnitarz angielski, zwiedzając szpitale marynarzy norweskich, "somewhere in England" zapytał lekarza, czy mają dość pielęgniarek, znających język norweski.

— Z tem niema trudności — padła natychmiastowa odpowiedź.

— W braku dostatecznej ilości pielęgniarek nadajemy na krótkofalówkach zapotrzebowanie do Norwegji i świeżo zaangażowane pielęgniarki za kilka tygodni — przyjeżdżają do nas motorówkami.

WYMIANA MYŚLI

Henryk Heine po rozmowie z pewnym niezbyt lotnym jegomościem, tak się o niej wyraził: "Mieliśmy wymianę myśli i mam teraz głowę zupełnie pustą"

SPROSTOWANIE

W artykule St. Strzetelskiego p. t. "Ośm architektów i jeden mechanik pokoju", pomieszczonym w No. 39 naszego pisma wydrukowano pomyłkowo zamiast H. Gibson — H. Lipson.

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY
Redakcja i administracja: 806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168

Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski Association of Writers from Poland.

Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński.

Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.

W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.

W Detroit, Mich. sprawy "Tygodnika Polskiego" załatwia: Księgarnia Ludowa M. Żukowskiego, 5347 Chene Street — Tel. Plaza 9479.